№ 4. Warszawa, dnia (10) 22 Stycznia 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2 Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12
Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50

Muzyka w Goplanie.

Co możemy powiedzieć o niej?

Że jest melodyjną i łatwą, że chwyta za serce i stanie się niebawem popularną, to znaczy, iż w układach fortepianowych na dwie i na cztery ręce obiegnie wsie, miasta, miasteczka, bębniona przez wszystkie panny na wydaniu, wystukiwana przez wszystkie tępe i zdolne uczennice — nucona zarówno w zacisznych buduarach damskich, jak w gabinetach męzkich przy partyi szachów i winta—w restauracyach, kawiarniach, ogrodach, na ulicy?..

Ogół publiki naszej, wychodząc z przedstawienia Goplany, tej sezonowej nowości (oby scena nasza zdobyła ich jak najwięcej w tym rodzaju!), ma dwa zdania na ustach: „Dekoracye wspaniałe, ale... muzyka ciężka, oh, ciężka!”

I każdy mimowoli wzdycha ze smutkiem.

A oto określenie drugie:

Z bijącem sercem dążąc na tę nową operę, wyczekujemy otworzenia się przed nami skarbnicy nowych „boskich” melodyj, opuszczamy zaś teatr, nie zatrzymawszy w pamięci ani jednego ważniejszego motywu. Na ustach błąka nam się kilka taktów oberkowej piosenki Grabca z pierwszego aktu, wplecionych parokrotnie, jakby dla ironii w tok dramatycznych frazesów siostrobójczej Balladyny. W najdalszym zakątku świadomości drga wibruje początek walca Goplany, i oto wszystko na pierwszy raz! Z bogactwa pieśni, z kombinacyi kontrapunktycznych, z akcentów barwnej i urozmaiconej rytmiki nie zostało nam nic więcej.

Czy w tem wina Żeleńskiego?

Bądźmy szczerzy, ale to szczerzy aż do poczucia skruchy. Która z oper współczesnych po raz pierwszy usłyszanych, pozostawiła nam w pamięci odrazu cały zasób melodyj, tak, iż zbiegając ze schodów teatralnych, mogliśmy je zanucić, pewni dobrze pochwyconych frazesów?

Rycerskość, Manon, Pajace...

No, tak... może! Idąc wszakże na pierwsze przedstawienia słynnych tych utworów muzy Mascagni'ego, Puccini'ego i Leoncavalla, byliśmy tak doskonale przygotowani do nich ograniem na wszystkich niemal katarynkach różnego rodzaju „potpourri,” — ośpiewaniem w salonach na rautach „cenniejszych” wyjątków zagranicznych tych arcydzieł, że wiedzieliśmy prawie dokładnie kolejne następstwo każdej aryi. Zaopatrzyliśmy się zresztą przedtem w fortepianowe partycye głośnych oper, przestudyowaliśmy je; import włosko-francuzki, obiegłszy przed przybyciem do nas Europę całą, zastał garstkę domorosłych melomanów naszych najzupełniej godną wtajemniczenia się w nie z desek scenicznych. Cóż dziwnego zatem, że „elektryzującą nawskróś“ Sycyliane z Rycerskości Mascagni'ego, śpiewaliśmy niemal chórem, rozsypawszy się z lóż, galeryi, krzeseł i amfiteatru po korytarzach przed laty, gdy po raz pierwszy dano nam możność usłyszenia na własne uszy „genialnego” tworu południowego kompozytora.

Goplana... Ktoby studyował swojską operę? To samo powinno wpadać w uszy, tak jak wpadają nam tęskne zawodzenia Stasiek i Marysiek na łąkach — jak wpadają dźwięki fujarki po rosie, zająkliwe tony basetli i skrzypek przed wiejską chatą w dzień świąteczny. „To nasze — jakżeby nie rozumieć tego odrazu?”

Przysłał nam Żeleński kilkadziesiąt egzemplarzy fortepianowych partycyi opery swojej z solami głosowemi; kto zajrzał do nich wszakże? Kilku sumienniejszych sprawozdawców, paru serdecznych przyjaciół kompozytora; zresztą, tkwić one będą zapewne za oknami wystaw nutowych, dopóki nie wyprze ich ztamtąd objawienie nagłego jakiego cudu zagranicznego, nad wywołaniem którego pracują wciąż gorliwie złotodajne różdżki Sonzognich i Ricordich.

Czy jednakże muzyka w Goplanie jest dla wszystkich tak ciężką i nudną, że po wchłonięciu jej w siebie, dla rozrywki, idziemy aż rwać sobie zęby?—jak zapewniał autorkę słów niniejszych jeden z przygodnych słuchaczy.

Przyznać wypada, że nie rozumie jej nietylko szary ogół, ale nawet i stali bywalcy teatralni, t. zw. „publika premierowa“ z lóż, krzeseł i balkonów, robiąca „opinję“ w salonach. Zarzuca ona Żeleńskiemu mianowicie brak ciągłości w aryach solowych, niedostateczne uwydatnienie charakteru bohaterów w podkładzie orkiestralnym, unikanie t. zw. *leitmotivów*, które od czasu Wagnera stanowią główną podstawę opery, rozbrzmiewając zrazu w najpierwszej uwerturowej przegrywce, by potem snuć się, niby nić czerwona, między falami dźwięków, atakować je znienacka, ścigać i przerywać najszersze frazesy muzyczne.

Co mówią jednak o muzyce w Goplanie stali bywalcy teatralni z czwartego piętra, z którymi nie liczy się zazwyczaj krytyka, których zdania nie dochodzą do wiadomości kompozytorów, jakkolwiek z wyżyn swoich słuchają oni cierpliwiej i baczniej, niż amfiteatr i krzesła, uwagi ich bowiem nie odrywa myśl: „kto też jest w loży pani X. lub Y.?“ ani niepokoi kwestya, czy aby fraki ich i białe krawaty zastosowane są ściśle do wymagań ostatniej mody?

Czy i dla nich muzyka w Goplanie jest ciężką, nudną?

Stali bywalcy z czwartego piętra, zaopatrzywszy się drogą kopiejkowych składek w jeden wspólny egzemplarz fortepianowej partycyi opery, odnajdują w niej cuda, o jakich zdążyli rozpisać się już wszyscy nasi krytycy, z tą różnicą, iż krytycy idą na połów owych cudów z konieczności, nasi zaś znawcy studyują skarby sztuki z własnej nieprzymuszonej woli, i dla zaspokojenia este-

tycznych upodobań i zamiłowań własnych.

Czy i oni zarzucają brak ciągłości aryom romantycznej opery Żeleńskiego?

Weźmy pierwszą z nich, ów śpiew zbyt może ziemski i teatralny, jak to zresztą słusznie zaznaczył p. A. S. na szpaltach niniejszych w sprawozdaniu swem z libretta Goplany, ale z tem wszystkiem porywający i piękny śpiew nieziemskiej bohaterki utworu.

Na listku lilii wodnej królowa jeziora płynie zdala. Witają ją Chochlik i Skierka.

Po kilku zamienionych recitativach — notabene recitativów w szablonowem pojęciu rozmów prowadzonych śpiewem na dwóch, trzech, czterech stałych środkowych nutach, które śmiało z oper Bellini'ego przenieść można do oper Donizetti'ego, Rossini'ego, Verdi'ego i t. p. w Goplanie niema wcale. Każde odezwanie się śpiewaków jest tu urywkiem czystej, szlachetnej melodyi, samej w sobie, którą niby drogocenna klamra, spina i łączy harmonja głosów zlewających się w przelotny tercet lub kwartet, podtrzymywany sprężystą rytmiką i barwną modulacyą orkiestry.

(Dokończenie nastąpi).

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Co ty tu robisz? — zdziwił się.

— Co mam robić? Nic? — mruknęła.

— Może masz papierosa?

— Mam, ale nie dla ciebie. Baby nie powinny palić.

— Dajże pokój. Tak mi się wyrwało. Mam ciebie przecież za kolegę.

— Tak, gdy mnie potrzebujesz.

— Takeśmy przecie sobie zaprzysięgli. Zapomniałaś? Pokaż rękę!

Odsunął swój rękaw i pokazał bliznę białą.

Podobną ona miała. Jeszcze z czasów niefortunnej wyprawy do Ameryki zawarli ze sobą ślub na wzór skandynawskiego braterstwa, i na pamiątkę tego nakapali sobie płonącego laku na rękę, chełpiąc się jedno przed drugiem, że nie okażą bólu. Stasia, na to przypomnienie dała mu papierosa, a on rzekł:

— To nie moja wina, że ty nigdy odemnie nie żądasz pomocy.

— Nie żądam, bo nie potrzebuję, ale ty jak śmiesz mi urągać. Jesteś zdrajcą!

Chłopak skoczył jak oparzony.

— Coś ty powiedziała! Cofnij!

— Ubliżyłeś naszemu ślubowi. Nie brat mi jesteś, ale mężczyzna! Nie wolno ci nazwać mnie babą.

— To prawda, ale byłem zły, bo Włodzio ze mnie drwił. Jeśli chcesz, pójdę jutro z tobą znowu na kaczki. Co mi ostatecznie matka zrobi!

— Nie chcę. Twojej matce nie godzi się dokuczać. Wiesz ty—ja starych nie cierpię, ale twoja matka mnie się podobała.

— Bo ona także babą nie jest! — odparł z dumą. — A żebyś ty przeczytała jej szarą książkę.

— Książki pisze?

— Ma taką jedną grubą, grubą — i tam dzień po dniu notuje swoje życie. Jakie tam dnie są!

I zadumał się.

— Chciałabym ją przeczytać.

— Nie da. Chowa ją dla nas — po śmierci! Ja ukradkiem czytałem.

— Wykradnij ją dla mnie!

— Spróbuję, ale trudno.

— Oho, a ty się trudności boisz!

Kazio poczerwieniał i spojrzał na nią wściekle.

Roześmiała się drwiąco, i puszczając kłęb dymu z papierosa, rzekła:

— Ojciec lepiej chował Darwina, a jakeś go zechciał, tom ci go dostała. Mnie to tylko miłe, co trudne.

— Matka szarej książki nie chowa. Leży u niej na biurze. Ty tego nie rozumiesz! Przecie skarbony, jak wiszą przy drzwiach kościoła, nie ściągniesz, choć nie przykuta!

— Głupiś! Żeby w skarbonie zamiast pieniędzy była wiedza i nauka, tobym ja ją wzięła nawet z ołtarza.

Cisnęła papieros i poszła ku domowi, gwiżdżąc.

Nazajutrz zagadnęła panią Taidę:

— Jabym chciała przeczytać szarą książkę.

Zdumiała pani Taida, ale że się bardzo śpieszyła w pole, więc nie badała zkąd wie o niej, i zkąd jej przyszła ciekawość.

— To za głupie dla ciebie; albo za mądre, jak chcesz. Jednem słowem, nie dla ciebie pisane! — odparła siadając na swój wózek, i ruszając w pole.

Pozostała tedy Stasi tylko nielegalna droga.

Książkę wykraść było bardzo trudno. Leżała na widoku dzień cały — wieczorem pisała w niej pani Taida, potem zamykała drzwi sypialni, i zabierała się do spoczynku.

Tedy Stasia wyczekiwała dni kilka do Niedzieli. Było to zarazem święto i wybierano się do kościoła.

W Sobotę Stasia wróciła ze spaceru podrapana ohydnie. Całą twarz miała czerwono pokreśloną, jakby dzień cały przedzierała się przez głogi.

Musiano ją tedy w domu zostawić, i postawiła na swojem. Ledwie odjechali, zabrała się do wertowania szarej księgi.

Wybieg jej zrozumiał przecie Kazio. Gdy wrócili, zagadnął ją po cichu.

— Czytałaś? Pewnieś się zbeczała, bo oczy masz jak królik czerwone?

— Jeszcze co wymyślisz. Ja nie umiem beczyć! — oburzyła się.

I więcej nic nie rzekła.

Zabawiły jeszcze dni kilka, i przez cały czas Stasia zachowywała się przyzwoicie. Nie sprzeczała się z matką, nie perorowała krańcowo, nie gorszyła swą zuchwałą mową nawet cioci Dysi.

Gdy wyjeżdżały, pani Taida pocałowała ją łaskawie w głowę, a dziewczyna schyliła się, by ją w rękę pocałować.

W szarej księdze tego dnia napisała pani Taida:

„Wyjechała dzisiaj Walerka Ozierska z córką. Byłam bardzo do dziewczyny uprzedzona i teraz nie wątpię, że będą z nią mieli dużo biedy, ale nie tyle z jej winy, co z winy ich systemu. To darmo — z dziewczyny tej nie zrobią salonowego sprzętu, ani wychowają potulnej panienki „do wydania," ale mam nadzieję, że hańby też im nie przyniesie. Jest bardzo zuchwała i harda, nie da się poniewierać, jest bardzo ambitna, więc nie powinna upaść! Dawniej ukrywano przed dziewczętami wiedzę, żeby pozostały niewinne i czyste nieświadomością, dzisiaj wiedza stoi otworem — naiwnych niema, może świadomość brudu utrzyma w nich czystość. Boże ustrzeż tę młodą duszę! Szkodaby mi jej było, żeby zmarniała. Rwie się do pracy i nauki. Albo to co złego! Za co ją karać? Perswadowałam Ozierskiej, ale ona jest trochę jak kura, co wysiedziała kaczęta. Nie umie sobie z tem dać rady."

W jakiś czas potem, jeszcze raz znalazła się w szarej księdze wzmianka o Stasi:

„Miałam dziś list od Walerki. Biedna, ciężko odchorowała stratę córki. Stasia zaraz po powrocie z Rudy, urządziła okropną scenę w domu, żądając pieniędzy na uniwersyteckie studya, i pasportu zagranicę. Na odmowę ojca zacięła się w ponurem milczeniu, a po tygodniu uciekła z domu, wykradłszy u ojca z biura swoją metrykę i sto rubli. Zostawiła list pełen wyrzutów, i wyrzeczenie się „wyrodnych rodziców." Źle się stało, i teraz poważnie się lękam, że dziewczyna się zmarnuje! A kto temu winien? Druk i manja pisania! Żeby zamiast smarowania papieru kwestyą emancypacyi, kobiety wzięły się naprawdę, każda do pracy, co mają pod ręką, nie byłoby kwestyi i nie byłoby takich szalonych głów jak Stasia! Ano — łatwiej smarować piórem po papierze o uniwersytetach i równouprawnieniu, jak oświeć w ciężkim trudzie bez sławy i imienia. Smarują tedy na nieszczęście ludzkości! Biedne dziecko! Dysia postanowiła codzienny pacierz na intencyę Stasi. Bodajże do Boga doleciał, bo tu trzeba Jego cudu! Kazio dzisiaj wyjechał do Puław. Za trzy lata dopiero stanie mi do pomocy! Oj czas mi już spocząć. Włodzio pisze, że mógł dostać stypendyum, ale się cofnął wobec zupełnie ubogich. Dobrze zrobił. Napiszę mu to zaraz i pochwalę."

Potem już w szarej księdze nie było wzmianki o Stasi — i nie było o niej mowy w Rudzie.

II.

Pewnego dnia ciocia Dysia zachorowała. Było to w czasie epidemicznego tyfusu we wsi; szpitalik był przepełniony, ciocia Dysia nie miała czasu, ani spać, ani wypocząć, aż się sama położyła, odrazu bez nadziei powstania. Całe życie nie robiła ze sobą kłopotu, każdemu rada ulżyć i pomódz — tak i do końca było. Poleżała tydzień, a siódmego dnia we śnie, odeszła, tak cichutko jak żyła.

Te siedem dni przesiedziała nad nią pani Taida, ratując ile mocy, sprowadzając doktorów, podając lekarstwa, modląc się o życie. Ciocia Dysia brała cierpliwie lekarstwa, ale

się wcale śmierci nie bała; martwiła się tylko, że to ją zaskoczyło wśród różnych rozpoczętych robót.

— Żeby w Listopadzie, tobym wykończyła to i drugie, i możeby się z tą epidemią uspokoiło! Ano, inaczej mi odmierzone było — nie moja wina. Chłopaków odemnie ucałuj, w szkatułce są dla nich pamiątki. Za tę biedną Stasię odmawiałam codzień koronkę do Przemienienia Pańskiego, to już tobie przekazuję. Moją książkę do nabożeństwa daj Annie, dozorczyni w szpitalu—moją odzież ubogim! Wiem, że o duszy mojej nie zapomnisz. Dziękuję ci za całe życie i za pracę! Krótkie mi się wydało i lekkie z twojej łaski. Nie radam cię samą zostawić, ale widzisz, nie moja wola! Teraz mi księdza sprowadź, bo już pora! Dopłynęło się do brzegu!

I tak ciocia Dysia cichutko odeszła!

Nie pisała testamentu, i nie troskała się o legaty, nie wzdragała się przed śmiercią, choć błogosławiła życie, jak rzetelna pracownica, gdy wieczór nadszedł, zasnęła w spokoju dobrego sumienia.

Zostało po niej trochę odzieży, szkatułka staroświecka z mnóstwem przegródek i z lusterkiem, wytarta książka do nabożeństwa, okulary, zielnik roślin lekarskich, pęk kluczy i fartuch szafirowy roboczy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

„Wewnętrzne dzieje Polski"

przez T. Korzona.

TOM IV.

Sprawozdanie.

W miarę ukazywania się pojedynczych tomów pomnikowego dzieła znakomitego historyka naszego, za obowiązek uważamy sobie informowanie o niem czytelników, dzielenie się z nimi zdobyczą nieprzebranego materyału naukowego i trzeźwych a sumiennych wniosków, stanowiącą zawartość tej niepowszedniej zaiste pracy.

Tom leżący obecnie przed nami, szczególnie jest barwnym i zajmującym — wbrew poważnie i pedantycznie brzmiącemu tytułowi: „Rząd rzeczypospolitej i działalność machiny administracyjnej."

Na trzy naczelne władze państwa zwraca historyk w tomie tym uwagę: na władzę sądową, prawodawczą i wykonawczą.

Rozdział pierwszy poświęcony jest sądownictwu i sejmowi t. j. dotyka dwóch pierwszych działów machiny rządowej. Następne rozdziały obejmują władze wykonawcze rzeczypospolitej.

Te ostatnie najbardziej zajmują historyka, gdyż one to w epoce Stanisława Augusta najsilniejszym uległy przeobrażeniom. Pod koniec epoki saskiej wszystkie urządzenia tak cywilne jak wojskowe, były już obumarłymi szczątkami przeszłości. Żeby wlać nowe życie w organizm polityczny, należało tworzyć nowe władze. I tworzą się też one nieustannie w ciągu omawianej epoki. Temu procesowi, świadczącemu o sile żywotnej podupadłego chwilowo organizmu, z lubością przypatruje się uczony.

Przejrzyjmy pierwszy rozdział, zawierający „Pogląd na sądownictwo i sejmy."

Nie mogła uskarżać się Polska na niedostatek władz sądowniczych. Trybunały ustanowione przez Stefana Batorego, który przelał na nie swoje atrybucye monarsze, używały zupełnej niezależności. Król nie używał już prawa łaski, a raczej używać go mógł tylko jako członek sejmu. Ułaskawienia zapadały, ale—jako uchwały sejmowe.

Ta niezależność sądownictwa nie znaczyła jednak rozdziału z władzą administracyjną. Przeciwnie, każdy urząd zaopatrzony był we władzę sądową. Hetman lub komisya wojskowa decydowała w sądach wojennych. Komisya skarbowa sądziła sprawy o fałszowanie monety, przemytnictwo, naruszenie kas skarbowych i t. p. Marszałek wielki miał swoje sądy marszałkowskie, których władza rozciągała się na wszystkie przestępstwa kryminalne spełnione w promieniu milowym dokoła rezydencyi królewskiej. Sam król, jako właściciel królewszczyzn posiadał swój sąd asesorski i referendaryę do spraw z dzierżawcami, starostami, magistratami miast, poddaństwem i t. d. Nawet niższe organa administracyi, jak komisye porządkowe cywilno-wojskowe wyrokowały w sprawach o bójki, włóczęgostwo, drobne kradzieże i t. p. Istniały nadto sądy oddzielne dla stanów niższych. Chłopi dziedziczni podlegali sądownictwu swojego pana. Żydzi załatwiali swe sprawy przed sądem rabina i kachału. Mieszczanie posiadali własny aparat sądowy, wójta, ławników, kordegardę, więzienia. Kompetencyi sądów duchownych podlegały i osoby świeckie w sprawach naruszających prawo kanoniczne.

Przeważnie zatem dla szlachty istniały sądy grodowe, od których służyła apelacya do trybunału.

Zbrodnie stanu podlegały najwyższemu sądowi sejmowemu.

Ta wieloramienna władza sądowa używała, jak wiemy, najgorszej w społeczeństwie opinii. Żadna instytucya nie ściągnęła na siebie tylu i tak ostrych nagan, co sądownictwo polskie. Przekonanie o wadliwości jego ustroju, o igraszce, jaką w rękach sędziów stał się wymiar sprawiedliwości, panuje u nas dotąd wszechwładnie. Z niemałem też zdziwieniem dowie się niejeden z czytelników, że poglądy autora „Wewnętrznych Dziejów" bynajmniej nie zgadzają się z tem ustalonem oddawna mniemaniem. Większą część słusznych zarzutów, czynionych sądownictwu polskiemu odnieść należy do nieszczęśliwej pamięci czasów saskich. Epoka Stan. Augusta przedstawia na tem polu niezmierny postęp. Przy końcu zajmujących swoich wywodów stawia historyk pytanie: czy cel główny wszelkiego systemu karnego: bezpieczeństwo publiczne — osiągany był w Polsce lub nie. I na podstawie najwiarogodniejszych świadectw współczesnych, głosi odpowiedź twierdzącą. Gdy w roku 1749 zerwano trybunał piotrkowski i przez rok cały Polska miała być pozbawioną swego najwyższego sądu, oczekiwano z trwogą następstw tego smutnego faktu. I cóż się stało? Oto jak pisze St. August: „Nic nadzwyczajnego nie zaszło; bezpieczeństwo publiczne naruszone nie było i czekano... na otwarcie trybunału z r. 1750. To dowodzi z jednej strony jak ta społeczność jest dobrą." Są i inne świadectwa. Rulhière, autor dzieła „Historya anarchii polskiej" pisze: „Niepodobnem do pojęcia jest to, że śród takiej anarchii Polska zdawała się szczęśliwą i spokojną; bezpieczeństwo panowało w miastach, podróżny bez żadnej obawy mógł przebywać tak lasy najsamotniejsze, jak drogi najliczniej uczęszczane; nie słychać nigdzie rozmowy o jakiejś zbrodni i nic lepiej nie popiera mniemania niektórych filozofów, że człowiek z natury jest dobry." Coxe, profesor uniwersytetu w Cambridge bynajmniej nie przychylnie usposobiony dla Polaków, zaważył, iż w ciągu całej podróży przez kraje polskie, nic mu nie zginęło, chociaż powóz w nocy zostawał na dworze bez dozoru.

W Polsce brak publicznego urzędu prokuratorskiego był bezwątpienia wielką wadą naszego sądowniczego ustroju. Brak więzień, administracyi więziennej, funduszów na utrzymanie więźniów, zasada „neminem captivabimus" stosowana do stanów wyższych utrudniały i tamowały bieg prawa. Pomimo to ten system karny „tak słaby i nieudolny, ze stanowiska teoryi odstraszania, wywierał na społeczeństwo silny wpływ moralny i moralizujący." Był wytworem własnym i oryginalnym narodu, o indywidualności odcinającej się bardzo wyraźnie od otaczającego go tła, odpowiadał też lepiej jego potrzebom, jego naturze, niż wszystkie urządzenia późniejsze.

Przechodząc do sejmów, ukazuje nam autor kilku rysami nakreślony obraz tej wielkiej instytucyi prawodawczej i politycznej, będącej w wyobrażeniu każdego Polaka jedyną powagą, przed którą należało schylać hardą głowę.

Jest coś wzruszającego w tej wędrówce, którą odbywamy za historykiem po zasypanych piaskiem dziejowym szlakach przeszłości. Nie potrzeba nawet wiele wyobraźni by czuć się przeniesionym do owej sali w zamku warszawskim „jasnej, bardzo wysokiej, skromnie ozdobionej, ale odpowiedniej godności i świetności zgromadzenia," w której z wyjątkiem dwóch odbytych w Grodnie, obradowały wszystkie sejmy za Stanisława Augusta. Oto szczegóły jej urządzenia: „Wszystkie siedzenia były w niej obite karmazynową materyą. W środku znajdowało się długie podwyższenie, na którego jednym końcu stawali marszałkowie sejmowi—koronny i litewski, a na drugim wznosił się tron, strzeżony przez dwóch tylko gwardzistów w kaszkietach. Po obu stronach podwyższenia stały we dwa rzędy krzesła z żółtemi obwodami dla senatorów, a dalej obite suknem ławki dla posłów, porządkiem województw. Arbitrowie (publiczność) mieli dla siebie galeryę, ale często wciskali się między posłów Trybuny nie było; każdy poseł lub senator

przemawiał z miejsca." Illustracye dopomagają złudzeniu.

Nie podobna nam przechodzić wraz z autorem dziejów kilkunastu sejmów, które miały miejsce za panowania ostatniego króla. Tutaj już z konieczności odsełać musimy ciekawego czytelnika do książki.

Podamy tylko ogólne poglądy Korzona na instytucyę sejmów Podobnie, a może nawet w wyższym stopniu niż sądownictwo, była ona wytworem samodzielnym ducha narodowego, stanowiła najpoważniejszy, najbardziej zadziwiający odłam kultury polskiej. Mająca źródło swe w prastarych obyczajach słowiańskich, urodzona ze czci dla prawa i swobody, mimo wszelkich zaburzeń i przekroczeń nie straciła ona nigdy uroku swego w oczach narodu.

„W ciągu badanego trzydziestolecia — pisze Korzon — działalność władzy prawodawczej sześć razy ulegała zaburzeniom (w latach 1764, 1767, 1773-5, 1776, 1791, 1793), z których trzy (reforma Czartoryskich, konfederacya 1776 i ustawa rządowa 3 Maja) były dziełem prądów wewnętrznych ku naprawie budowy państwowej, i przez ogół za dobre uznanemi zostały, trzy inne zaś wynikły z przemocy państw sąsiednich i były niweczone przez naród przy pierwszej sposobności."

Ani jednak te zaburzenia, ani bolesne wrażenia zdeptanej wolności obrad, sprofanowanych obrzędów prawodawczych, ani parodya sejmu zorganizowanego przez Sieversa, niezachwiały w narodzie czci dla instytucyi sejmowej. Reformatorowie sejmu czteroletniego, marzący o władzy despotycznej królów, nie mogą jednak wyobrazić sobie ustroju rządowego bez izby senatorskiej i poselskiej.

Kościuszce powierzają Polacy władzę dyktatorską z tym warunkiem, że po ukończeniu wojny niezwłocznie zwoła sejm. Sejm, był ideałem narodu naszego. Pomimo burzliwości temperamentu narodowego, pomimo wybujałego indywidualizmu, prawo przez sejm postanowione choćby nienawistne, było bądź co bądź szanowane, i zmienić je mógł tylko sejm następny.

„Śmiem twierdzić wbrew ustalonym opiniom — pisze Korzon — że cześć dla prawa głęboko tkwiła w umyśle Polaków, nawet wśród rozgwaru namiętności, wśród obłędu i występków politycznych. Byli oni zdolni „mieć fanatyczną głowę na punkcie prawa," jak to zauważył ze zdziwieniem i oburzeniem Rossyanin, Repnin.

„Wszystko, co dla umysłu Polaka miało najwyższą powagę, mieściło się w zbiorze konstytucyi sejmowych; wszystkie znamiona władzy najwyższej, ziemskiej widział on tylko w „Najjaśniejszych Sejmujących Stanach."

H. C

(Dokończenie nastąpi).

Subtelności Pedagogiczne.

Poszanowanie dla pamięci zmarłych i współczucie dla niedoli żyjących, to niezaprzeczenie dwa podstawowe pojęcia, od których rozpoczyna pedagogja dzieło uspołecznienia przyszłego człowieka.

O pierwszem z nich wyraża się moralista: „Cześć oddawana umarłym, to ostatni z przesądów, na które rzucić się może sceptyk."

Drugie, to iskra Boża najpierw rozdmuchiwana w sercu dziecięcia, to drgnięcie człowieczeństwa w budzącym się organizmie, to źródło pierwszych pociech matki — jej pierwsza łza dziękczynna, i pierwsze błogosławieństwo ludzkie.

Wątpliwości nie podlega, że wśród bezustannego przerobu wyobrażeń, jakiemu ulega ludzkość, wśród ciągłej ewolucyi idei, są to dwie warownie, wzniesione na straży doskonalenia się i rozwoju etycznego, do których najmniej szturmów otwartych — na które zamachów bezpośrednich prawie, że nie spotykamy wcale. Nie idzie jednak zatem, aby tam, gdzie nie widać jawnego przeciwdziałania zasadom chrześcijańskiego miłosierdzia, nie miało być ukrytych sprężyn oddziaływających w kierunku wprost przeciwnym. Nie idzie zatem, abyśmy nie mieli dokoła siebie i systematycznie szerzonej oschłości uczuć, i filantropijnej hipokryzyi, i wadliwego pojęcia o metodzie wszczepiania w serce dziecka uczuć natury altruistycznej, abyśmy jednem słowem, wolnymi być mieli od tych wszystkich niebezpieczeństw, które dobrze zrozumianej, a po staremu nazwanej, miłości bliźniego w mniejszym lub większym stopniu zagrażają.

Ponieważ wogóle roztropniej jest zapobiegać spaczeniu się pojęć, jak reagować przeciw spaczonym — ponieważ wielką istotnie i cały żywot urabiającą rzeźbiarką jest wedle słów poety młodość, sądzimy więc, że nie mogą być zbytecznemi uwagi, dotyczące budzenia w duszy dziecka tych uczuć, które bez względu na opinje, przekonania i zasady, uznajemy jako podstawowe, niezbędne — nieodbicie potrzebne człowiekowi.

Na cel zgadzamy się wszyscy—idzie o wybór środków — o metodę i jej stosowanie.

Biorąc kwestyę z zasadniczego punktu zapatrywania, gdy idzie o środki, wolno chyba powiedzieć, że ze wszystkich wskazywanych przez pedagogię, a praktykowanych przez życie, najzbawienniejszymi okazały się te, które były najszczersze i najprostsze. Kto przy wykładzie dziecku prawd chrześcijańskich, wyjdzie z zasady bezwarunkowej równości ludzi między sobą, i bezwzględności obowiązku brania do serca niedoli ludzkiej, ten w dalszym rozwoju dziecka w najmniejsze jeszcze zabrnie sprzeczności ze sobą, i na najmniejsze narazi się kłopoty pedagogiczne. Stać jak najbliżej źródła nauki i nie zbaczać na manowce przy jej stosowaniu do życia, znaczy to uwolnić się od sofistycznej kazuistyki, do której zmusza ustawicznie w rozwoju swoim każde dziecko, widzące dokoła siebie jawną sprzeczność między postawieniem zasady i ustawicznem nałamywaniem jej do rzekomych konieczności życiowych.

Nie możemy powiedzieć, abyśmy codziennie miewali sposobności do notowania objawów podobnej harmonii między głoszoną za sadą a stosowaniem jej w życiu, gwoli pożytku młodego pokolenia. Nie wolno nam przyznać przed sobą, aby tam, gdzie się u nas daje naukę praktyczną miłosierdzia, lekcye takie nie pozostawiały nic do życzenia.

Mówimy oczywiście o powszechności — nie o wyjątkach. Wyjątki były, są i będą zawsze, ale te nie pocieszają nas wcale.

Chcąc być treściwymi w sformułowaniu zarzutów, jakie stawiamy pedagogii rodzicielskiej, gdy ta czynnie wciąga dziecko do filantropii, powiemy krótko, że ta filantropia ma kilka cech charakterystycznych, w wysokim stopniu naruszających istotę rzeczy.

Jest ona przedewszystkiem manifestacyjną, estradową albo koncertową, jeśli kto woli, i to stanowi jedną z jej stron najciemniejszych. Ginie w niej bez śladów idea miłosierdzia czystego — zatraca się przypuszczenie uczynku chrześcijańskiego, jako wyniku wewnętrznego popędu, a o tem, aby ten uczynek spełnionym był wedle tego, jak chce mieć Zakon, mianowicie, aby prawica nie wiedziała o uczynkach lewicy — o tem oczywiście lepiej nie wspominać wcale. Jednem słowem, lekcya tego rodzaju bywa lekcyą zdaniem naszem całkowicie chybioną, i duszy dziecka z pewnością szkodę a nie pożytek przynosi.

Drugą ujemną stronę naszej warszawskiej filantropii dziecinnej stanowi jej zabarwienie tradycyonalne, wynikające bezpośrednio z metody jaką przyjęliśmy oddawna przy spełnianiu każdego rzekomo chrześcijańskiego uczynku. Nam, ludziom dojrzałym wyrządza metoda taka krzywdy dotkliwe — o zarażaniu nią dusz dziecinnych z przykrością prawdziwą mówić nam w tem miejscu przychodzi. Wogóle przestaliśmy rozumieć uczynku chrześcijańskiego bez zrobienia wzamian zań przyjemności sobie samym, i tę przyjemność, ten lusztyk, czy tę frajdę wypłacamy sobie z góry, pozostawiając ową część drugą, która nam posłużyła za pretekst, na drugim planie, jako dodatek nic nieznaczący. Postawieniu temu rzeczy na wywrot, zupełnie godnie odpowiada ostateczny rachunek materyalny każdego takiego przedsięwzięcia. Spłacamy 100 rubli haraczu zbytkowi, aby upuścić z biesiadnego stołu rubla jednego dla otarcia łez niedoli. Złe to jest bardzo gdy sami praktykujemy to, organizując bale w t. zw. celach dobroczynnych—zatruwające stanowczo, gdy uczestnikami metody tej robimy dzieci. Wenty, dobroczynne, przy których mamy chętnie się otaczają córeczkami ile można najostentacyjniej ad hoc dekorowanemi, same wreszcie kinderbale, doroczne choinki i uroczystości królów migdałowych, połączone z rozdawnictwem odzieży znoszonej dzieciom ubogim, są to z pewnością największą pierwsze poglądowe lekcye światowej obłudy, lekceważenia nędzy, i urągowiska idei samej. Każmyż lepiej już usunąć tamto *„Res sacra miser"* z frontonu przytułku nędzy, bo społeczności, które w ten sposób praktykują miłosierdzie, spełniają akt faryzejski prawdziwie, wywieszając szyldy podobne.

Ile razy przyjdzie nam do głowy przedstawiać dziecku naszemu akt miłosierdzia, jako tak zwany czyn piękny, a nie jako prosty obowiązek, tyle razy bądźmy przekonani, że spełniamy prawdziwą herezyę pedagogiczną. Są to grzechy powszednie, błędy codzienne i cogodzinne nawet — grzechami jednakże dlatego i błędami być nie przestają, tak samo jak nie zmniejszają się ujemne ich następstwa

dlatego, że tych faktów i tych owoców metody widzimy dokoła siebie moc niezmierzoną.

Kto dopuszcza do głowy dziecku przypuszczenie, że można być dobroczynnym bez straty, że robi się drugiemu dobrze nie ujmując sobie, ten daleko rozumniej postąpi, jeśli mu nic o miłosierdziu mówić nie będzie. Wszczepione już w dzieciństwie przypuszczenie możliwości tanich bohaterstw, ofiarności bez pozbawienia siebie czegoś, gorsze jest w skutkach od zupełnej na niedolę ludzką obojętności. Świata przy cynicznem urąganiu prawdom zasadniczym jeszcze u nas nie przejdzie, ale sztukując prawdę fałszem dochodzi się istotnie, a nawet niekiedy dochodzi dosyć daleko, jak to widzimy codziennie. Chyba że nam jest po myśli taka maskarada człowieczeństwa, to mnóżmy liczbę podobnych dobroczyńców ludzkości a patrzmy końca.

Wogóle dobrzeby zrobili ludzie niektórzy, dając za wygranę wszelkiej jaśnie oświeconej dobroczynności. Czas na akty perfumowanego miłosierdzia jest dosyć nieszczęśliwie wybrany. Już niema dzisiaj wierzących w to, że są tacy, którzy na mocy konsensu jakiegoś z pokolenia w pokolenie, „chadzają w uczuć purpurze i złocie,“ „że tak jako stoi na końcu pieśni, otrząsnąwszy się z wieków pleśni, staną z wielką myślą w sercu, w głowie, chatom niby aniołowie.“ Przebrzmiało tamto bez echa wraz z rozwianiem się faktycznego patryarchatu społecznego, a z dzisiejszych glinek kruchych i z tegoczesnych podejrzanych splendorów ulepić można parodystycznych tylko orędowników miłosierdzia. Co zginęło w duchu tego nie wskrzeszać lepiej w formie. Wzmogły się też i uroszczenia ludzkie, rozrosły ambicye. Kto tam wiedzieć może, co za bunt kiełkuje w sercu dziecka, które się czuje ofiarą pogardliwego miłosierdzia ze strony innego dziecka.

Strzeżmy się ukazywania temu dziecku urodzonemu w puchach różnic, linij demarkacyjnych i wszelkich przepaści społecznych, bo i tak mu ich życie późniejsze aż nadto wiele ukaże.

S.

ODKRYCIE.

Epizod z naszej epoki.

(Ciąg dalszy).

Musiało mu być tego podziękowania niedosyć, bo chodził czas jakiś po pokoju pomrukując z niezadowoleniem, a w końcu wykonawszy ramionami i ręką gest oznaczający zrezygnowaną obojętność, poszedł połączyć się z towarzystwem.

Nazajutrz oczekiwała panna Julia z gorączkową niecierpliwością wyjazdu ojca na miasto. Przy śniadaniu panowała nad sobą wiele tylko mogła, starała się być ożywioną i czynną. Ale oko starego lekarza nie dało się wyprowadzić w pole. Pod pokrywką tą odgadywało ono burzę wewnętrzną hamowaną tylko wysiłkiem nerwów, ożywienie było dlań tylko gadatliwością, a co do onej czynności pozornej, wiedział dobrze, że miała na celu unikanie badawczego wzroku ojca, i odwrócenie jego podejrzeń. Odetchnęła z głębi piersi, kiedy nareszcie usłyszała turkot karety, wyjeżdżającej na ulicę. Teraz powstała szybko, dokończyła z pośpiechem rannej toalety, i zajęła się przygotowaniami do wyjścia.

Przedewszystkiem wydobywszy starannie zachowany w biurku tomik, oznaczony na nagłówku nr. 3271, o którym słyszeliśmy jej rozmowę w czytelni jako o zaginionym, przegląda go bacznie, a wybrawszy kilka stronnic, na marginesie których widać dosyć długie przypisy ołówkiem naprędce robione, zakłada je papierem, resztę zaś obwinąwszy, pieczętuje troskliwie, tak aby nikt nie zobaczył tych przypisów więcej, niż ona uznaje za potrzebne. Z pomiędzy kilkunastu listów, związanych osobno, wydobywa jeden, i zamyka go w notatniku, a ten składa obok książki. Wreszcie przeczytawszy uważnie adres pozostawiony wczoraj przez kuzyna na jej biurku, wychodzi szybko, zapowiadając służącemu powrót swój za dwie godziny.

W trzy kwadranse niespełna potem, odnajdujemy ją już chwytającą pośpiesznie powietrze po przebyciu stromej drabiny wschodowej, prowadzącej na czwarte piętro. Jeszcze chwilę pozostaje w takiej postawie wyczekującej, a nakoniec nakreśliwszy znak krzyża na piersiach, puka p. Julia kilkakrotnie do drzwi z prawej strony ciemnego kurytarza.

Basowym głosem odzywające się „entrez“ z tamtej strony drzwi zdziwiłoby nas na tem staromiejskiem poddaszu Warszawy, gdybyśmy niewiedzieli, że do starego Hermana, długoletniego po różnych krajach Europy włóczęgi i bywalca, wybierała się młoda kobieta w odwiedziny. Jaki był cel tej wizyty szczególnej, powinniśmy z rozmowy tych dwojga ludzi, obcych sobie dotąd zupełnie, dowiedzieć się niebawem.

— Kuzyn mój — zaczyna p. Julia dźwięcznym, ale drżącym nieco głosem, — upewnił mię, że szanowny pan przychylnie przyjąłeś prośbę moją, i przyobiecałeś mi łaskawie pewne wskazówki, które...

— Czy ten poczciwy Hannibal zrobił przytem wzmiankę i o niektórych skrupułach moich? My ludzie starzy, mający przed sobą grób niedaleki, a po za sobą morze cierpień, kończąc porachunki nasze ze światem, nie radzibyśmy wchodzić z nim w nowe powikłania. Masz pani przed sobą starca, któremu choroba nieuleczalna często przypomina bliskość godziny ostatniej—chciejże go, proszę wyrozumieć. Zresztą na postanowienie z mojej strony czas zawsze.

Podczas gdy Herman mówi, p. Julia stara się zrobić szybki przegląd otoczenia tego samotnika, a głównie jego osoby; on ze swej strony zdaje się robić również spostrzeżenia, które wyraźnie wypadają mu na korzyść przybyłej, bo głos starcowi łagodnieje za każdem słowem, a w chwili, kiedy gościowi swemu przystawia krzesło, czuć już w tym głosie przychylność nieledwie ojcowską i przejęcie się szczere jej kłopotliwem istotnie położeniem.

— Spocznij pani chwilę, schody wysokie i złe, a przytem wydajesz mi się pani wzburzoną. Poczekam.

Panna Julia rozgląda się, ale sprawy sobie jeszcze nie zdaje z tego, co ją otacza. Jedno tylko wie napewno, że się o podobną postać w świecie swoim z pewnością dotąd nie otarła. Kto on, i co w nim jest, że taki od reszty ludzi odmienny? Czas upływa jednakże, i koniecznie trzeba przystąpić do rzeczy — niedyskrecyą byłoby przedłużanie tego milczenia wobec człowieka, który niewątpliwie obliczone ma wszystkie godziny. Ta samotnia tchnie atmosferą pracy nieprzerwanej.

Panna Julia wydobywa tomik oznaczony nr. 3271 i podaje go starcowi. On leniwie wyciąga po niego rękę, następnie ogląda tytuł książki i nazwisko jej autora, a usta wykrzywia mu uśmiech lekceważenia, od którego rumieniec ukazuje się na twarzy młodej kobiety. Jeszcze potem zwraca uwagę jego te kilka tylko stronnic otwartych i staranne opieczętowanie pozostałych, a to wszystko dzieje się błyskawicznie prawdziwie, niepozostawiając czasu na wyjaśnienia ani z jednej ani z drugiej strony. Wreszcie dostrzega starzec ołówkowe w kilku miejscach notatki na marginesie, i od tej chwili wydaje pannie Julii się, jakoby nie miał już uwagi dla żadnej sprawy postronnej. Przenosi książkę na drugi stół, stojący pod oknem, ogląda ją pod światło, odsuwa i przybliża, przykłada lupę, robi jakieś notatki na białej karcie leżącej pod ręką, wreszcie rzuca kilka przelotnych ukradkowych spojrzeń na młodą osobę i pomrukuje zcicha do siebie: „charakterystyczne! bardzo charakterystyczne!“ Niebawem jednak trafia widać na przeszkodę, bo robi ruch ręką, jak gdyby chciał oderwać opaskę zasłaniającą pozostałe stronnice książki, jeszcze raz rzuca okiem na kilkanaście znaków prawie że hieroglificznych, nakreślonych przez siebie, i rozłożywszy ręce odzywa się z akcentem zniechęcenia:

— Materyał niedostateczny!

Panna Julia nie wie dobrze co Herman przez to rozumie, ale ponieważ po dobrym namyśle postanowiła wczoraj ukryć przed każdem okiem obcem resztę dopisków, więc znać na jej twarzy wahanie jakieś, namysł chwilowy, który pierzcha dopiero po wolno upuszczonych powtórnie paru słowach starca:

— Niedostateczny! A szkoda! Prawdziwa szkoda!

Teraz już ona znowu czuje się niewymownie zaciekawioną, a może wciągniętą w jakieś magiczne koło wpływów wywieranych przez starca, to też nie biorąc w rachubę, ażali to, o czem mówi ów dziwny człowiek, odpowiada zupełnie jej założeniu, albo nie, odrywa z pośpiechem opaskę i wręcza mu do rozporządzenia książkę całą, a wzamian za to odbiera uwagę:

— Bardzo słusznie! Bo też mnie treść tego, co tam nagryzmolono wcale nie obchodzi. Wszystko mi jedno, czy to będzie „Ojcze nasz,“ czy metafizyka, czy korespondencya złoczyńcy. Nie treść dokumentu, pani moja, stanowi istotę rzeczy, bo treść dyktować ała wola, która wyjść mogła tak dobrze z czystego natchnienia, jak z najmętniejszych pobudek umiejętną dyssymulacyą osłonionych. Nie treść, powiadam, bo treść to ani prawda, ani wskazówka do wykrycia prawdy! Nie to co napisane ale jak jest napisane! Ot, w czem rzecz! — wykrzykuje z energią, rzu-

cając książkę na stół. No, dobrze! Teraz zobaczymy. Musi tu przecież ani jednej literki, ani jednego cugu nie brakować!

— Mędrzec — szarlatan, czy szalony? — szepcze do siebie z uczuciem dreszczu wewnętrznego młoda kobieta, i osuwa się w głąb fotelu, nie spuszczając ani na jedną sekundę oka z tej zawiędłej twarzy pooranej głębokiemi bruzdy, i z tych oczu raz podnoszących się w górę z oznakami wielkiej pracy wewnętrznej, to znowu rzucających blaski jakieś niepojęte, których przyznaje nie oglądała nigdy ani na jawie, ani nawet w sennych marzeniach swoich.

Jemu tymczasem każdy nowy wiersz tych notatek, rozwiązuje widać jakieś wątpliwości, zapełnia luki w spostrzeżeniach, pomaga do snucia wniosków i wyników, bo zajęcie jego wzrasta, bo wykrzykniki mimowolne bez względu na tego milczącego świadka, którego ma obok siebie, same wydobywają mu się z piersi. Wreszcie może on nie wie nawet, że w tej chwili jest tutaj ta kobieta obca.

— Typowe! Zupełnie typowe — mruczy do siebie po kilku minutach zaledwie dosłyszalnym szeptem, ale słuchaczka jego nie upuszcza ani jednej sylaby z tych dźwięków urywanych, czasami tylko zimny pot występuje jej na czoło, a bladość marmurowa na twarz, kiedy usłyszy jakichś kilka wyrazów, które jej domysłom i przypuszczeniom takie obszerne otwierają pole. Czego dotyczyć mogą te słowa szczególne? — do jakich ludzi i do jakich spraw odnosi je sobie w myśli ten dziwny starzec? Jakaś nieznana i nieprzeczuwana atmosfera owiewać ją poczyna, i rozumie tylko jedno, że to jest z pewnością taki świat, w którym ani myślą, ani przeczuciami nie przebywała nigdy do tej pory.

— To łączenie ze sobą spójników z następną literą — mówi teraz wolno a wyraźnie — dało mi przecież w rękę tajemnicę rudego Dicka. A wszyscy mi przeczyli wtedy — wszyscy co do jednego! Sam byłem ze swoimi wnioskami, i pięciu lat czasu było potrzeba, żeby moje jak je nazwano, przywidzenia wyszły na jaw, jako prawda niezbita. Ah! te pięć lat! jakie one były ciężkie w mojem życiu! Sam jeden — kto zrozumie jak strasznem jest to słowo? Ale bo też z rutyną — szaloną prawdziwie rutyną wdałem się w spory. Co oni rozumieć mogą wszyscy ci profesorowie kaligrafii o psychologii piszącego, i o całej niezmierzonej głębi tej symboliki znaków, które do nich nie przemawiają tak jak do mnie żywemi i najwymowniejszemi ze słów.

Nagle zamyśla się Herman, patrzy z natężeniem na jedną z kart książki, na której marginesie więcej niż na innych widać tych ołówkowych dopisków, ogląda wiersz jeden przez lupę, ale i lupa mu jak widać tym razem nie starcza, bo umieszcza książkę na postumencie i jakąś tam jedną literę wsuwa pod mikroskop, i znowu patrzy w sufit, i szuka czegoś w głębi pamięci własnej, a wreszcie uderza się w czoło i mówić zaczyna znowu do siebie:

— No to, to już przyznaję i dla mnie niespodzianka! Takiej kolekcyi zupełnej, gdzieby ani jednego rysu nie brakowało, gdzieby się wszystko wzajemnie objaśniało, nie miałem, chybaby... chyba w tamtem, tamtem piśmie. Ale to dawno... Tak jest, to tylko tamten z procesu 24 ch — głośnego wielkiego procesu, tylko tamten jeden dał mi taki materyał nieoceniony. Ale też to była indywidualność! Zobaczmy jednakże — porównajmy! — Przepraszam panią — zwraca się w tem miejscu do panny Julii, której zdumienie i niepokój wzrasta z każdym jego komentarzem — przepraszam panią, ale chwilkę jeszcze cierpliwości. Są to w istocie rzeczy dla mnie... dosyć ciekawe — mówi modyfikując stopień swojego przejęcia się, bo i on zaczyna wreszcie spostrzegać, że myślał dotąd zbyt głośno, że niejedną uwagą swoją mógł nadmiernie przerazić słuchaczkę swoją. Przecież jej na tem musi zależeć bardzo wiele, skoro przyszła aż tutaj, a przytem wszak ona słuchając, albo raczej podsłuchując to co on w urywanych słowach do siebie wypowiadał, doszła do takiego stanu, w jakiem ją widzi teraz. Toż ta kobieta drży cała, wargi jej poruszają się automatycznie, gardło ścisnął jakiś przykry spazm, chciałaby cokolwiek odpowiedzieć, a nie może tego dokazać w żaden sposób, i tylko potakującym ruchem głowy daje do zrozumienia, że się zgadza na wszystko, co on robi. Rozumie teraz starzec że się dał nadmiernie owładnąć wrażeniom własnym, niekontent jest z siebie, bo widzi wyraźnie jakie to zapomnienie się jego wywarło skutki. Ale to co ma przed sobą, silniejsze jest od niego, więc otwiera szafę, wydobywa z niej plik aktów, w których panna Julia widzi listy wszywane, i te jakieś znów obok nich znaki zagadkowe, i pojedynczych części twarzy ludzkich kontury ołówkowe wraz z objaśnieniami. Ale to już wszystko zmienia się dla niej w tej chwili w jeden chaos, i takiem byłoby dla każdego wogóle, ktoryby zbyt długo i ciekawie wsłuchiwał się tak i wpatrywał w dźwięki i obrazy zupełnie dla siebie niezrozumiałe.

Herman ogląda obydwa pisma, porównywa je z sobą gołem okiem i przy pomocy szkieł, mierzy kąty nachylenia, a po jakimś kwadransie może czasu rzuca się na krzesło, i znowu mimowoli i chęci wyrywa mu się z ust:

— Fotograficzna tożsamość. No!..

Ale i teraz nie przerywa Hermanowi interesantka pracy jego myśli, i jak się pokazuje słuszną jest jej powściągliwość, bo on znowu coś szeptać zaczyna do siebie:

— Gdyby to jednak zobaczyć jeszcze... i przerzucać zaczyna potem dopiski wszystkie książki i pokazuje się, że mu jednakże pozostała wątpliwość jakaś, bo zwraca się już do niej wprost:

— Wie pani, że bardzo radbym zobaczyć jedną literę, która wedle tego jak jest pisaną, ma u mnie swoje odrębne znaczenie i swoje właściwości, a tej litery jak gdyby na złość, niema nigdzie. Ta litera zdecydowałaby u mnie jo jednej jeszcze wątpliwości, którą dotąd mam nierozwiązaną. Proszę sobie wystawić, że nie spotykam jej wcale na kartach tej książki, którą mi pani dać raczyłaś.

— Cóż to za litera?

— „W” duże.

Panna Julia wychodzi ze swego odrętwienia, i nagle jak błysk przebiega jej przez myśl, że to właśnie jedyna chwila, w której odrazu dowie się wszystkiego. Dobywa też notatnik swój i drżącą ręką podaje Hermanowi wyjęty z niego list, w którym u spodu arkusza widnieje podpis „Wiktor A.” Starca znowu reszta listu nie interesuje wcale; zatonął on całkiem w tej literze swojej.

Tym razem dla niej trwa to zbyt długo, bo zawisła myśl jej cała na tem przypuszczalnem rozstrzygnięciu, wobec którego stanęła nagle, to też nie czekając na to, co on jej powie, chwyta sposobność i postanawia skończyć. Co jej do tych wszystkich jego dociekań i do całej jego kabały? Alboż ona zresztą wie, co to wszystko ma za wartość? Ona po to jedno tu przyszła — tego jest ciekawa i o tem dowiedzieć się musi. Kładzie więc rękę na książce i liście i pyta wprost:

— Pisał jeden i ten sam człowiek? Wszak tak?

Herman daje głową znak potwierdzający.

— I to jest pewne, niezbite, niewątpliwe?

— Jak to, że mamy w tej chwili dzień Boży.

— Racz pan uwierzyć w moją wdzięczność szczerą — mówi złamanym głosem, wstając z fotelu młoda kobieta — a oto wzamian za usługę, jaką mi wyświadczasz, chciej przyjąć... chciej przyjąć dla swoich biednych, — kończy pomieszana na widok wrażenia, jakie wywiera na starcu propozycyą swoją.

— Daruje pani — odpowiada Herman z sarkastycznem skrzywieniem ust, odsuwając jej rękę — ale tacy jak ja nie mają swoich biednych. Nie mogę przyjąć w ich imieniu, a sam niezwykłem brać datków za przysługi imaginacyjne. Nie zrobiłem dla pani nic — nie powiedziałem nic.

— Owszem, to sprawdzenie tożsamości charakterów...

— Eh! O tem pani mówi! Tak błahą usługę oddałby pani pierwszy lepszy kaligraf-specyalista, czyli pierwszy lepszy rzemieślnik.

— A więc te badania, które pan robiłeś nad pismem pokrywającem marginesy książki?

— Co pani po tej wiadomości? Przedewszystkiem nie po to przyszłaś pani do mnie, jak się przekonywam teraz, a wreszcie wszak tego, czego byłaś ciekawą, dowiedziałaś się już — innemi słowy wiesz wszystko.

Panna Julia żegna tajemniczego człowieka odedrzwi, odwraca się jeszcze aby coś powiedzieć, ale spostrzega na jego twarzy wyraz litościwego współczucia, który ją gniewa, i tym razem wychodzi, robiąc w duszy mocne postanowienie nieprzekroczenia nigdy tych progów, a ostatnią myśl swoją, odnośnie do tego człowieka i jego wszystkich prób a doświadczeń przy niej robionych, streszcza sobie w wykrzykniku: „Szarlatan! Z największą pewnością szarlatan jakiś!”

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Sprawy miejskie.

W dniach 13 i 14 Stycznia n. s. weszła w życie na gruncie naszym nader ważna reforma dotycząca sprzedaży napojów spirytualnych. To co znanem było pod nazwą szynku, karczmy, oberży, zniknęło w jednej godzinie bez śladu, bez pozostałości najmniejszej, zniknęło — skończyło się — ustało. Bardzo łatwo zrozumie każdy, że wielowiekowy nawyk do spirytualnych napojów wyrodzić mógł u nas pewnego rodzaju potrzebę gromadzenia się w miejscach jego zbytu. Te miejsca tak ujemnie notowane w historyi naszego rozwoju, wydać musiały swoją szkołę, wpłynąć na obyczaje, wytworzyć zboczenia stałe — jednem słowem jaskinia taka, z konieczności stać się musiała w narodzie, a przedewszystkiem wśród mniej oświeconych jego stanów, rozsadnikiem złego posiewu i punktem środkowym wpływów ujemnych.

Tak też było niewątpliwie. Z szynkiem mamy porachunki dawne, mamy i inne o wiele późniejszej daty, mamy z nim nakoniec, jak to mówią na pieńku za jego krzywdy, wyrządzone nam w dobie ostatniej. Idzie tylko o to, abyśmy oskarżając tego wielkiego winowajcę, złorzeczyli mu w danej chwili tyle tylko, wiele jest wart obecnie, a do tego celu wrażenia momentu dostarczyć nam mogą pewnych wskazówek dosyć, zdaniem naszem, pocieszających. Przychodzi istotnie na myśl, że to już trup tylko— szkielet — widmo, które nas opuściło na zawsze, któremu należy się zapomnienie tylko, a nie jakaś w dalszym ciągu walka, i obrona czynna z naszej strony przeciwko złemu, które zaledwie że istnieje jeszcze wpośród nas.

To ostatnie przypuszczenie, wyznajemy to, nasunęła nam fizyognomia miasta w chwili zamknięcia wszystkich takich przytułków nałogu i zarazem siedlisk występnych knowań przeciwko porządkowi społecznemu. O prowincyi mówić nie możemy, bo raz, że nas reforma zastaje w Warszawie, i o odbiciu się jej na życiu gromad sielskich nie możemy sobie stworzyć należytego pojęcia, a przytem ważny to jest wzgląd, że te gromady od tradycyonalnej karczmy swojej odwykały powoli, że propinacye po wsiach upadały stopniowo, a do sądzenia o nałogu karczemnem ludu wiejskiego mamy już tylko rzadką sposobność w dniach jarmarkowych, w czasie dorocznych odpustów i wogóle dniach gromadzenia się ludności rolnej w jakichś centrach prowincyonalnego ruchu. O prowincyi zatem mówić nie będziemy. Ale co się tyczy Warszawy, to można rzec, iż przeszło to jakoś bez żadnych widocznych oznak, nawet bez owego pożegnania uroczystego z szynkiem, które przewidywaliśmy zawsze, ilekroć była mowa o terminie wprowadzenia monopolu. Sądzimy też, że lud odwyknie od zbierania się w tych miejscach bez trudności, a o ile wyjść mu to może na dobre udowadniać byłoby zupełnie zbytecznem. Pozostaje tylko jako reminiscencya dawnego porządku rzeczy owa cała klassa przedsiębierców dotychczasowej sprzedaży trunków wyskokowych, o której niejednokrotnie chyba jeszcze usłyszeć nam przyjdzie. Są to procederzyści łatwego, a najmniej moralnego z zarobków, ludzie bez fachu i bez ochoty do pracy, organizatorowie zepsucia, a znajdą się między nimi i paserzy, i stręczyciele, i pośrednicy we wszelkich występnych przedsięwzięciach. Z tymi więc obrachunku za skończony nie uważamy bynajmniej.

Za parę tygodni obraz panoramy Tatr opuszcza Warszawę i wędruje w dalekie podobno kraje. Jak słychać, Tatry ukażą się najprzód w Londynie, a ztamtąd przewieźć je mają aż do Ameryki. Że następstwem bezpośredniem tej podróży będzie ukazanie się w naszych górach coraz większej liczby turystów obcych, zdaje się nie podlegać wątpliwości. W blizkiej przyszłości będziemy mieli zapewne udoskonaloną komunikacyę, wygodne hotele, powstaną nowe przedsiębierstwa, a ludność tamtejszą umoralni do reszty duch spekulacyi, który się tam rozpanoszy na dobre. Niechże się raduje komu to po myśli.

Jeden z architektów tutejszych opracowuje plany domów z tarasami na dachach. Tarasy te gromadzić będą mogły w porze letniej lokatorów, co ze względu na większą w górnych warstwach czystość powietrza, wydaje się być dla zdrowia mieszkańców nowością nader pożądaną.

Ze sztuki i literatury.

Teatr Rozmaitości wystawił w zeszłym tygodniu zapowiadaną już od dłuższego czasu komedyę Kazimierza Glińskiego, zatytułowaną „Szaławiła." Jest to jak ją nazywa autor krotochwila w 5 ciu odsłonach. Dotąd „Szaławiła" nie zchodzi z repertuaru teatru.

Obraz J. Brandta „Wyjazd z Wilanowa Jana III wraz z królową" tylko do ostatnich dni Stycznia pozostaje w Salonie tutejszego Towarzystwu Zachęty Sztuk pięknych. Obraz, jak powiadają dzienniki, przewieziony być ma na wystawę akademicką do Petersburga.

Przy zbiegu ulic Nowy Świat i Foksal w domu narożnym otwartą została wystawa obrazów artystów francuzkich, na którą składa się 100 z górą płócien z zakresu malarstwa rodzajowego i krajobrazowego. Znajdują się tam, jak zapewniają ogłoszenia, prace niektórych nawet wybitniejszych malarzy francuzkich młodszej generacyi. Wystawa trwać ma przez kilka tygodni, a zasilać ją będą nowe obrazy nadchodzące z Paryża. Jak jest rzeczywiście, nie omieszkamy powiadomić w osobnem sprawozdaniu, o ile na to rzecz zasługiwać będzie, w najbliższych numerach „Tygodnika" przypadającem.

Mamy przed sobą I-szy zeszyt wydawnictwa zbiorowych dzieł poetyckich Wacława Rolicza Liedera, które ukaże się zapewne w całości w okresie między 1898—1899 rokiem, jak to głosi napis na czele tego zeszytu. Tom I-szy obejmie 32 zeszyty po 32 strony; inne zapewne tak samo. Ceny we wszystkich księgarniach 30 kop. za zeszyt na pięknym papierze.

Nowe pisma.

„*Prawit. Wiestnik*" donosi o pozwoleniu wydanem przez Ministeryum Spraw Wewnętrznych na wydawanie następnych pism: „Homiletyka" w Włocławku i „Zwiastun Ewangeliczny" w Warszawie. Obydwa pisma są miesięcznikami. P. Adamowi Grabowskiemu udzielono koncessyę na gazetę w języku polskim p. t. „Echa Płockie i Łomżyńskie." Pismo wychodzić będzie w Płocku dwa razy tygodniowo.

Curiosum.

„Wiek" podaje w 10 numerze swoim statystyczne cyfry dotyczące łupów zbieranych przez dom gry w Monte Carlo. Cyfry są wymowne, a że je „Wiek" dla naszej wiadomości uprzystępnił odrazu w rublach, więc korzystamy z jego ułatwienia. Oto są te pozycye rozchodu i przychodu rocznego.

Na cele bezpieczeństwa publicznego, policyę i sądy 200 000 rs.—roboty publiczne i upiększenie ulic 80.000 rs.—światło i wodociągi 190,000 rs. — wyścigi, strzelanie do gołębi, regaty i maskarady 160,000 rs.—publikacye i ogłoszenia 20,000 rs. — utrzymanie łazienek 30.000 rs.—poczta 20,000 rs.— *Księciu za koncesyę* 500,000 rs.—*Szkoły i cele kościelne 90,000 rs.* Razem rubli 1,350,000 rocznie.

O haraczu pobieranym przez dobrego księcia wiedzieliśmy dawno, o filantropii pedagogicznej i dobru kościoła słyszymy po raz pierwszy, i nie wątpimy, że pisma objaśnią tę pozycyę, a my to objaśnienie zobowiązujemy się powtórzyć niezwłocznie dla uspokojenia czytelników.

Koszta utrzymania samego kasyna czyli domu gry, przedstawiają się tak: rocznie: dyrektorzy i koszta budowlane 220 000 rs.—światło i opał 100,000 rs.— odszkodowania dla agentów prywatnych, urzędników pensyonowanych i inwalidów (?) 90,000 rs. — zapomogi wypłacane gapiom, którzy się pozwolili ograbić do nitki, aby mogli powrócić do domu 120,000, teatr i orkiestra 410,000 rs.—wreszcie *prasa* 250,000 (szanowna i sympatyczna V-ta potęga świata!) Akcyi jest 6.000 a dywidendy za każdą wypłacono w roku upłynionym 60,000 rs. Ogółem przyniósł bank zysków w ostatnim sezonie 15,400,000 rs.

Biedna ludzkość!

Wskazówki i rady.

Kolacya wystawna podczas zimy.

1) Majonez z łososia lub szczupaka.
2) Pasztet ze zwierzyny we francuzkiem cieście.
3) Indyki i kapłony z kompotami i sałatami różnemi.
4) Krem śmietankowy mrożony z konfiturami, zwany „plombia" lub lody w formach.
5) Torty, cukry, owoce zagraniczne, winogrona, mandarynki, jabłka tyrolskie.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W-ny Ad. Pod. w Niedź. i W-na Bog. Kleszcz. w Skrzesz. Kwartalna prenumerata wraz z przesyłką pocztową tak „Tygodnika Mód," jako też i „Przyjaciela dzieci" wynosi rs. 1 kop. 25. Otrzymaliśmy na ten cel zbiorowo przy liście niejakiego p. Wa. 1) od W. Adama Podolskiego z Niedźwiedzia za kwartał I „Tyg. Mód" rs. 1 k. 15. 2) Od W-nej Bogusławy Kleszczyńskiej z Skrzeszowic: za kwartał I i II „Tyg. Mód" rs. 2 k. 30 i za kwart. I i II „Przyjaciela Dzieci" rs. 2 k. 30. Prosimy uprzejmie o dodatkowe nadesłanie brakujących kwot.

W. Stan. Wiś. w Olk. Nie radzimy. Za zaufanie Redakcya dziękuje.

W-ny Czes. w Ług. Pozostałością rozporządzono wedle żądania.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Bracka 15. Meble bambusowe „MAISON NIPON" Najtańsze i najładniejsze. Bracka 13.

MAGAZYN BŁAWATNY

J. GRUCZYŃSKIEGO I SKI

Krakowskie-Przedmieście Nr. 7.

Na sezon karnawałowy poleca:

Wielki wybór Wełn jasnych, Muślinów, Tiuli i Jedwabi, od skromnych do najstrojniejszych. Adamaszków. „Gaze Liberty" na suknie plisowane.

583-30-23

Od 1 listopada 1897 roku wychodzi w Warszawie

„Przegląd Filozoficzny"

PISMO MAJĄCE NA CELU:

1) Dać ogółowi intelligentnemu poważną lekturę, oraz zawiadamiać go o ruchu filozoficzno naukowym w kraju i zagranicą.

2) Zachęcić młode siły do badań filozoficzno-naukowych.

3) Zachęcić specyalistów do uwzględniania zasadniczych teoretycznych podstaw ich specyalności.

4) Przyczynić się do skupienia sił naukowych.

Treść pisma stanowić będą:

Artykuły oryginalne z psychologii, teoryi poznania, logiki, metodologii, etyki, estetyki: socyologii, historyi filozofii, oraz ze wszystkich nauk specyalnych, o ile w nich będzie się ujawniał pierwiastek filozoficzny

Jednym z głównych zadań **„Przeglądu Filozoficznego"** będzie roztrząsanie kwestyi, wywołanych życiem praktycznem, o ile te kwestye znajdą się w ściślejszym związku z zagadnieniami filozofii.

Dział sprawozdawczy będzie obejmował cały ruch filozoficzno naukowy z wyżej wymienionych dziedzin umysłowości ludzkiej i zawierał: ***Krytykę i Sprawozdania rzeczowe, Przegląd czasopism, Wiadomości bieżące, Notatki filozoficzne, Bibliografię.***

W najbliższych numerach zamierzamy umieścić rozprawy następujące:

Edward Abramowski: „Dwulicowy charakter spostrzeżeń."
Karol Appel: „Błędy w mowie i piśmie, jako przedmiot badania psychologicznego."
Dr. Władysław Biegański: „Myślenie logiczne a kojarzenie wyobrażeń."
Prof. Dr. Piotr Chmielowski: „Adam Mickiewicz jako filozof."
Samuel Dickstein: „Korespondencya Kochańskiego z Leibnitzem."
Prof. Dr. Ludwik Gumplowicz: „Ibn Kaldun, socyolog arabski z XIV wieku."
Napoleon Hirszband: „Ewolucya wrażliwości estetycznej."
„Kult siły ducha jako podstawa etyki."
Zygmunt Heryng: „Ruch i jego atrybuty."
Władysław M. Kozłowski: „Próba wykrycia i wykazania pierwiastków apriorycznych w zasadniczych prawach przyrody, dotyczących materyi nieorganicznych."
Adam Mahrburg: „Co to jest nauka."
„Filozofia przeczenia (negacyi)"
Dr. Leon Marchlewski: „Postępy syntezy chemicznej i jej dążenia."
„Poparcie teoryi ewolucyi Darwina przez eksperyment chemiczny."
Dr. Maryan Massonius: „Racyonalizm w teoryi poznania Kanta."
Dr. Julian Ochorowicz: „Stosunek psychologii do medycyny."
Józef K. Potocki: „O terminologii psychologicznej."
Zenon Przesmycki: „Estetyka Hoene-Wrońskiego."
„Nowe próby i metody w dziedzinie estetyki."
Dr. Rafał Radziwiłłowicz: „Znaczenie komórki nerwowej."
Prof. Dr. Ludwik Stein: „Podstawy filozofii społecznej."
Prof. Dr. Kazimierz Twardowski: „Z dziedziny teoryi indukcyi."
Feliks Wermiński: „Dzisiejszy stan teoryi Darwina."
Władysław Weryho: „Materyalistyczne pojmowanie dziejów."
„Karol Marx jako filozof."

Oprócz wyżej wymienionych przyrzekli już swoje współpracownictwo *Prof. Dr. Jan Baudouin de Courtenay, Jan Władysław Dawid, Dr. Konstanty Górski, Władysław Gosiewski, Dr. Władysław Heinrich, Prof. Dr. Henryk Hoyer, Dr. Bolesław Epstein, Dr. Maksymilian Flaum, Dr. Jan Karłowicz, Stanisław Karpowicz, Prof. Dr. Józef Kowalski, Tadeusz Korzon, Władysław Kozłowski* (ze Lwowa), *Stanisław Kramsztyk, Antoni Krasnowolski, Ludwik Krzywicki, Floryan Łagowski, Jan Lorentowicz, Prof. Dr. Władysław Natanson, Prof. Dr. Teodor Masaryk, Dr. Władysław Olechnowicz, Dr. Władysław Ołtuszewski, Salomon Posner, Ludwik Przysiecki, Prof. Dr. Henryk Struve, Dr. Aleksander Świętochowski, Dr. Antoni Złotnicki.*

„Przegląd Filozoficzny" wychodzić będzie co kwartał, obejmując 8 do 10 arkuszy druku.

Prenumerata „Przeglądu Filozoficznego" wynosi: w Warszawie rocznie rs. 4 półrocznie rs. 2; z przesyłką „ „ 5, „ „ 2 50

Prenumeratorzy roczni otrzymają jako dodatek bezpłatny dwa odczyty Emila du Bois Reymond'a p. t. „O granicach poznania natury" i „Siedem zagadek wszechświatowych" w tłómaczeniu ze wstępem Dr. Maryana Massoniusa.

Redaktor i wydawca Dr. Władysław Weryho, Warszawa, Krucza 26. 451—1—1

Księgarnia nakładowa

EMILA SKIWSKIEGO

Warszawa, Chmielna 26.

Poleca następująca dzieła dla młodzieży;

Esteja:

KRÓLEWICZ KĘDZIOREK I KRÓLEWNA PEREŁKA

Bajka, wydanie luksusowe ozdobione licznemi akwarelami i rysun. A, Borkowskiego w ozdobnej oprawie. Cena rs, 2.

Wiktor Gomulicki:

NIEDZIELE ROMCIA

z illustracyami. W kartonie. Cena 1 rs. kop. 50.

Stefan Gębarski:

Robinson Tatrzański

z illustracyami. Cena w kartonie 1 rs. kop. 50 w oprawie rs. 2.

Marcus i Aurelian

Opowiadanie z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Cena kop. 25.

ZDOBYCIE KONSTANTYNOPOLA

Opowiadanie historyczne. Cena kop. 25.

E. Jerlicz:

KREWNI

Powieść odznaczona na konkursie „Przyjaciela Dzieci." Cena kopiejek 8.

Br. Grabowski:

KOLEGA JULKA

Powieść zalecona do druku na konkursie „Przyjaciela Dzieci" Cena kop. 70.

M. Bzowska:

WIRGINIA

Powieść z pierwszych czasów chrześcijaństwa Zalecona do druku na konkursie „Przyjaciela Dzieci." Cena kop. 25.

J. Norman Lockyer;

Pierwsze początki Astronomii

Przełożył Władysław Skłodowski. Z licznemi illustracyami w kart. Cena kop. 60

Zuzanna Morawska:

Z dziejów słowiańszczyzny kresowej

Opowiadanie historyczne. Cena kop. 25.

Teresa-Jadwiga:

DWIE SIOSTRY

Opowiadanie historyczne z czasów państwa rzymskiego. Cena kop. 25.

Talizman Janka

Cena kop. 25.

PRZYJACIEL DZIECI

z lat dawnych.

Rocznik zbrosz. rs. 4, w ozdob. oprawie rs. 5.

Do nabycia u wydawcy i we wszystkich księgarniach. Nadsyłający żądania wprost do nakładcy kosztów przesyłki nie ponoszą.

W Pierwszorzędnej Szkole Kroju i Szycia

EUFEMII PILNIAKOWSKIEJ

Mistrzyni Cechu Warszawskiego i Petersburskiego, uczennicy słynnego w Paryżu Worth'a.

Przyjmuje każdodziennie na kursy prywatne i z prawem zapisywania do zgromadzenia krawieckiego dla uzyskania kwalifikacyj na Podmistrzynie i Mistrzynie. ***Patenty Cechowe*** wydaje się. Przy szkole pracownia sukien, gdzie suknie krojone najdoskonalszym krojem wykonywują się bez wszelkich poprawek. ***Warszawa, Nowy-Świat № 12, I-sze piętro, front.*** Filia szkoły w Petersburgu. ***Szkoła egzystuje lat 11.*** 733—10-8

NAJLEPSZE MYDŁO DO PRANIA

bez przymieszki żywicy i innych surogatów. **Nadaje białość, zapach, dezynfekuje nie niszcząc bielizny** usuwa potrzebę używania chlorku, sody, bielideł etc. etc. Wypróbowane w szpitalach i pralniach za granicą i u nas. Wyrabia fabryka

„STĘPKOWSKI & SZYMAŃSKI"

Żądać wszędzie.

Warszawa, Wolność 16. — Telefonu 1110. 707-26-17



Warszawa, Mazowiecka № 16.

NAJWIĘKSZE W KRAJU SKŁADY

Fortepianów, Pianin i Organów

HERMAN & GROSSMAN

Filie: St.-PETERSBURG ul. Morska № 33, MOSKWA Kuźniecki Most, LUBLIN Królewska № 207.

Sprzedaż na raty po rs. **25** miesięcznie. WYNAJEM.

Illustrowane katalogi gratis. 783—6-4

702360

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Января 1897 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Juliusz Zeyer.

JAN MARYA PLOJHAR.

PRZEŁOŻYŁ

MIRIAM.

(Ciąg dalszy).

— Zostawić go losowi — rzekł po krótkiem milczeniu. — Ale ty, Caterino... Matka moja cię prosi, abyś ze mną pojechała do Rzymu, abyś szukała schronienia w jej domu... Ja wiem, że tego nie zrobisz, choć matka chce posłać tutaj do San Cataldo dwie zakonnice, któreby...

— Nie, Luigi, nie—rzekła Caterina.—Nie posyłaj nikogo. Nie potrzeba nam—mnie i wiernej mej Suntarelli, niczyjej pomocy. Zostanę tu z nim sama. Gdyby się musiał przenieść do Rzymu, pojechałabym z nim.

— Wiedziałem to, znam stanowczość twej woli i dlatego cię nie namawiam. Dla charakterów, jak twój, najlepiej jest wypić kielich boleści do dna. Same potem dochodzą do spokoju. Bóg z tobą! przyjadę znowu lada dzień. Pilnuj, aby był spokojny, to dlań lek jedyny.

U drzwi przypomniał sobie.—Ach—rzekł—byłbym zapomniał. Masz tutaj list od donny Paoliny, a tu drugi dla twego chorego. Jego list przyniosła nam Nina, a twój dała mi wczoraj donna Paolina, gdym ją odwiedził. Wyobraź sobie, że jestem i jej lekarzem. To znaczy, że będę wkrótce w Rzymie w modzie.

Odszedł, a Caterina padła na krzesło i zakryła sobie twarz rękami. Nie była zdolna nic myśleć, była jak ogłuszona ciosem straszliwym, nie wiedziała, co czynić; tę tylko miała świadomość, że płakać jej nie wolno. Odgadłby wszystko, spostrzegłszy zaczerwienione jej oczy. A tymczasem nie powinien wiedzieć tego.. Tak pragnął żyć... Co za zadanie przygotowywać go do śmierci!... Przerażona, odpędzała tę myśl od siebie.

Otworzyła list donny Paoliny, tylko aby oczy zająć. Ale głoski rozpływały jej się przed oczyma jak we mgle, i nie mogła ich wyczytać, a gdy jej się to jednak udało, nie wiedziała, czego donna Paolina od niej chce, nie pojmowała zwykłego znaczenia wyrazów. Wreszcie wyrozumiała, że donna Paolina robi jej tę samą propozycyę, co ciotka Galli. Chce, aby przyjechała do Rzymu, proponowała jej także, iż wyszle dozorczynię chorych, bo słyszała była podobno, że Caterina stała się jakąś siostrą miłosierdzia, a wyzna jej otwarcie, że nie wydaje się jej to odpowiedniem dla Cateriny powołaniem. Dodała coś o niewyraźnem świetle, w jakiem uprawianie w dalszym ciągu tego miłosierdzia mogłoby z czasem młode, samotne dziewczę w nieustannej styczności z obcym, młodym mężczyzną w tym pustym domu, postawić.

Caterina w roztargnionem osłupieniu swem nie zrozumiała tego nawet dobrze, a przytem nie przyszło jej na myśl, zkąd też donna Paolina tak szczegółowe o niej wiadomości zaczerpnąć mogła. Złożyła list, który spełnił swą służbę; zajął powierzchownie przynajmniej uwagę jej i powstrzymał oczy od płaczu. Zresztą o donnie Paolinie i o tem, co pisała, po pięciu minutach już ani pamiętała.

Mechanicznie poprawiła sobie przed zwierciadłem włosy, które w nieporządku na czoło jej spadały. Ten jedyny ruch rozpaczy, gdy po odejściu Luigi'ego na krzesło się rzuciła, był taki gwałtowny!

Weszła teraz cicho do jego pokoju i miała tyle siły, że go spytała: — Jak ci jest, Janie Maryo? I gładziła mu włosy jak matka. Zajaśniał ku niej swemi siwemi oczyma, pełnemi tkliwości, które zdawały się — dzięki! ustawicznie ku niej wołać, i rzekł z uśmiechem:—Myślę, że mi lepiej.

Wziął jej z ręki list, który Luigi dla niego przyniósł; Caterina nie wiedziała nawet, że go w ręku miała.

— Dla mnie? — spytał i spojrzał na adres. Poznał pismo i zachmurzył się mimowoli. List był od Leopolda z Pragi. Jan Marya westchnął otworzywszy go, list był taki długi, a obawiał się zawsze tych długich listów z Pragi; przynosiły mu zwykle tyle przykrości! Chodziło zapewne znowu o te nienawistne interesa pieniężne. Miał chęć odłożyć to czytanie na później, ale wreszcie rzekł sobie:—Bądź co bądź!—i nabrał męztwa. Zaczął czytać dość spokojnie.

Caterina odwróciła się od niego, oddaliła się ku oknu i jęła wyglądać na ogród, szary cały i we mgłach tonący. Słuchała, jak deszcz szumiał na drzewach i w okna bił. Myśli jej wszakże błądziły, błądziły, a serce drgało jej znowu jak wówczas, owej strasznej nocy, jedynym wykrzykiem: — Boże! — Przymknęła oczy i przycisnęła czoło do chłodzącej szyby okiennej.

Jan Marya czytał. Odgadł—chodziło znowu o pieniądze. Leopold rozpisał się szeroko. Przedewszystkiem doradzał mu znowu prędki powrót do Czech, a potem podawał długi, długi rozrachunek, z którego wynikało to, o czem Jan Marya właściwie dawno już wiedział, i co Leopold już nieraz mu był pisał, że mianowicie pozostały mu już nieznaczne jeno szczątki dawnego majątku.

— Jeżeli jesteś istotnie taki chory — pisał Leopold — że zaraz powrócić nie możesz, pożyczę ci pieniędzy, ile jeszcze będziesz potrzebował do chwili zupełnego wyleczenia się, lub, lepiej mówiąc, do nastania u nas piękniejszej, cieplejszej pogody. Prosiłbym cię wszakże, abyś trochę mniej wydawał, niż dotąd. Siostra twoja nie może o tem wiedzieć, że ci pieniądze pożyczam, nie zezwoliłaby na to. Widzę, jak się dziwisz, jak się unosisz. Mój drogi, nie sądź siostry swej nieszczęśliwej, zanim wszystko usłyszysz. Powiem ci teraz coś niewymownie bolesnego, zbierz wszystkie siły, abyś mógł zachować spokój. Ukrywałem dotąd przed tobą, równie jak przed całym światem, tajemnicę, która wszakże dziś już nią nie jest. Z tobą powinienem był może dawniej o tem pomówić, ale znając cię, że nad miarę wszystkiem się wzruszasz, i ufając zresztą, iż rzecz się poprawi, milczałem. Teraz wszakże straciłem już zupełnie nadzieję, przynajmniej na czas długi. Użal się nademną i posłuchaj! Oddawna zauważałem u Róży Maryi jakąś, na tak młodą osobę niezwykłą, chciwość, która ani tobie, ani nieboszczce matce twej zapewne tajną nie była—jakieś wprost gorączkowe bogactw pożądanie. Gdyby to pragnienie złota dało się u niej, jak u wielu ludzi, wytłómaczyć odpowiednimi wydatkami, uganianiem się za okazałością w strojach, za świetnem urządzeniem domu lub za tysiącem innych lekkomyślności, właściwych naszemu patrycyuszowskiemu, o świetności arystokratycznej marzącemu towarzystwu, — byłoby to zjawiskiem zupełnie zwykłem. Ale siostra twoja pożądała pieniędzy tylko dla pieniędzy. Stało się to w niej chorobą. Nikt nie przeczuwał, jakie walki staczać z nią musiałem, aby się porządnie ubierała. Nawet próżność kobieca w niej wygasła. O każdy najmniejszy, najkonieczniejszy wydatek prowadzić musiałem długie spory. A przecież nie potrzebowała żona moja oszczędzać, bo wyznam ci tutaj, że majątek mój wzrósł znacznie i wzrasta ciągle. Chorobliwy stan duszy długo nie ujawniał się wyraźnie, ale wkrótce po twoim odjeździe nastąpiło prawdziwe pod tym względem przesilenie. Opanowała ją głęboka i ciężka melancholja. Ilekroć przyszedłem do domu, znajdowałem ją we łzach całą. Na moje pytania, co jej dolega, odpowiadała mi zawsze, iż wiem to dobrze sam, i załamywała ręce, wołając: — Co począć? jak się ratować?—I wpadała w rozjątrzenie straszliwe, gdym odgadnąć nie mógł, co przez aluzye swoje powiedzieć chciała. Starałem się naprózno zgadnąć, a ona wyjaśnić nic nie chciała. Wreszcie zaczęła zwierzać się znajomym, co ją tak dręczy. Opowiadała im, żeśmy zupełnie zrujnowani, że wie, iż będzie zmuszona żebrać. Niektórzy myśleli, że snadź, w istocie ponieśliśmy ciężkie straty pieniężne, do których ja przyznać się nie chcę, a przytłumione o tem wieści jęły wkrótce krążyć po Pradze i zaczęły nawet szkodzić mojemu kredytowi. Teraz dopiero doszły i do moich uszu; śledząc, zkąd mogły powstawać te baśnie, odkryłem nareszcie prawdziwe źródło swego nieszczęścia. Nie chcę cię dręczyć dalszymi szczegółami: Róża Marya ma monomanię, sądzi, iż jest żebraczką, i nie mogąc pogodzić się z okropną myślą nędzy, próbowała już nawet życie sobie odebrać. Cierpiałem niewymownie, starałem się ją ratować. Wreszcie zmuszony byłem powierzyć ją, na czas jakiś przynajmniej, sławnemu lekarzowi za granicą, który ma znany w całej Europie dom zdrowia.

Następowało nazwisko lekarza, miejsce, gdzie ten dom zdrowia się znajduje, i pobożna modlitwa do Boga, aby tę biedną, cierpiącą „żonę“ albo uzdrowił, albo do siebie powołał. Kończyło list napomnienie, aby Jan Marya był mężczyzną i nieszczęście z taką samą starał się znosić rezygnacyą, jak on, Leopold, najnieszczęśliwszy z małżonków.

List wypadł Janowi Maryi z ręki. Skamieniał ze zgrozy do tego stopnia, że ani bólu, ani, jak mu się zdawało, najmniejszego nie czuł wzruszenia, choć trząsł się całem ciałem. Zakrył sobie oczy. Widział siostrę, jak ją widywał był w Hawranicach, piękną, spokojną, szczęśliwą, zapomniał o wszystkiem, co mu ją później obcą zrobiło, i wyobrażał ją

sobie i teraz jeszcze młodą i zapewne jeszcze piękną, ale z temi niespokojnie błądzącemi oczyma chorych na duchu, z temi gorączkowymi wykrzykami boleśnie skrzywionych ust, z tymi ruchami szaleńców, tak dziwnymi, ob cymi, okropnymi, z tem wszystkiem, co się opisać nie da, co człowiekowi krew w żyłach mrozi, a widząc ją taką, uczuł w mózgu dziwny zawrót, a w sercu ból ostry, nieokreślny, straszny. Chwycił się za głowę, ta miłosierna skamieniałość, która trzymała zmysły jego i członki, opuściła go nagle, i w niezmiernem wstrząśnieniu boleści jęknął tak rozpacznie, jękiem tak głęboko z pękającego serca wychodzącym, że Caterina, usłyszawszy, z trwogą ku niemu się rzuciła. Padła na kolana koło kanapy, objęła go, położyła głowę jego na swoje piersi; myślała, że umiera. Widział jej przerażenie, czuł bijące mocno jej serce, odgadł jej myśli, i to powróciło mu władzę nad sobą, nad tą boleścią straszliwą.

— Przebacz, przebacz — prosił ją, a gdy potem koło niego usiadła, obie jego ręce w swoje wzięła i w oczy mu patrzała tym wiernym, wszystko znoszącym, do Boga o zmiłowanie wołającym wzrokiem, wypowiedział jej cicho, co mu Leopold o siostrze pisał, i łzy współczucia, które dziewczę nad losem tej nieznanej przelewało, uspokajały go poniekąd. Sam nie znalazł ani jednej łzy, któraby boleści swej ulżyć mógł. Wspomniał wreszcie i o pierwszej części tego nieszczęsnego listu: być zupełnie zrujnowanym miało teraz, gdy Caterina go kochała, gdy los jej z jego losem związany był, zupełnie inne znaczenie, niż kiedykolwiek przedtem. Dawniej myślał mimowoli: — Więc cóż? Toć długo żyć nie będę!

Teraz wszakże chciał, teraz musiał żyć, a stosunki jego majątkowe miały swój cel wyraźny. Nigdy jeszcze palącej goryczy tej kwestyi nie czuł był tak, jak w tej chwili.

— Wielki Boże—przyszło mu teraz również na myśl—a jak sądzą, jak mogą sądzić obcy ludzie o naszym stosunku?—Było mu jasnem, że dobrej sławie jej szkodę wyrządza! Toć żył z nią tutaj w tej samotni nietylko w jednym domu już, ale prawie w tem samem mieszkaniu! Nie byłoż powinnością jego powiedzieć teraz:—Caterino, kochasz mnie, zostań więc moją żoną?

Nie marzyłże jeszcze dziś rano — jak teraz wyraźnie sobie przypomniał—że snadź klimat w Egipcie mógłby go uzdrowić; nie miałże rozkosznego widzenia, iż ona płynie z nim przez modre morze ku brzegom tej tajemniczej ziemi, która miała mu wrócić zdrowie i pewność życia, a więc zabezpieczyć mu szczęście? A jakże inaczej mogłaby Caterina jechać z nim do Egiptu, jeżeli nie jako jego żona? Wielki Boże! a teraz jakże mógł jej to rzec, to niebodajne słowo: — Bądź moją żoną!

Nie była bogata i nie dbała o bogactwo, ale nie byłożby okrutnem zawołać na nią: — Bądź jeszcze biedniejsza ze mną! — Ach, czyliż nie znaczyłoby to poprostu: — Tą trochą, którą masz, podziel się jeszcze z nieszczęśnikiem, który wkradł się do twego domu, do twego serca, z człowiekiem, który dotąd nie umiał jednego kęsa chleba sobie zarobić!...

Ujrzał w sobie najpodlejsze na świecie stworzenie, był prawdziwym wyrzutkiem!

— Caterino — zawołał rozpacznie, wyrywając jej ręce—Caterino, nie dotykaj mnie, jestem wstrętny ciałem i duszą, każ wygnać mnie z domu jak psa; bo ja, nędzny, nie mam już nawet tyle mocy nad sobą, abym sam odejść ztąd zdołał!

Wstał, chwiejąc się i zataczając. Caterina tym nowym namiętnym wybuchem, którego zrozumieć nie mogła, sama do rozpaczy rozżalona, musiała zebrać wszystkie siły ciała i duszy, aby nie uledz wzruszeniu.

Posadziła go z powrotem na kanapie, uspokajała go słowy i pocałunkami, jak dziecko, a gdy twarz w poduszkach ukrył i widzieć jej nie mógł, zwróciła oczy ku niebu w niemej, przebolesnej modlitwie. Męka obojga była zbyt wielka, uniesienie zbyt intensywne, aby mogło trwać stale.

Po dość długiem, zobopólnem milczeniu, uspokoili się poniekąd. Jan Marya zaczął objaśniać jej, co ostatni jego wybuch miał znaczyć; mówił niewyraźnie, mgliście, bo myśli jego zaczęły powoli tracić jasność. Dziewczę wysłuchało go i zrozumiało.

— Ach—rzekło z pełnem wyrzutu spojrzeniem—dla takiej drobnostki przeraziłeś mnie tak niezmiernie! Niech Bóg ci to odpuści. Ja odpuściłam już. — I pocałowała go w czoło, i uśmiechnęła się.

Patrzał na nią ze zdumieniem. Ona wszakże, gdy znowu chciał mówić, położyła mu rękę na ustach.

— Przedewszystkiem—rzekła—uspokój się. Potem pomówimy o przyszłości.

To ostatnie słowo ukłuło ją w serce. Przypomniała sobie, co Luigi był jej powiedział. Toć nie było przyszłości! Uśmiech jednak nie znikł z jej twarzy, jaśniał jak ongi na twarzach męczenników w arenach. Urównała mu poduszki na kanapie i zaczęła znowu mówić cicho, słodko, kojąco, jak do dziecka. Pocieszała go. Jakże mógł tak poddawać się wrażeniom! Toć wszystko da się naprawić, gdy będzie zdrów. Po cóż wytwarzać sobie troski? Wyżywić się, przecież to tak łatwo. Nawet kobiecie, a cóż dopiero mężczyźnie! Donna Paolina proponuje jej miejsce. Nie, nie, ona nie przyjmie go, uspokajała, gdy rzucił się niecierpliwie, będzie z nim, ze swym mężem zawsze, zawsze. I mówić zaczęła żartobliwie o tem, jak on będzie musiał o nią dbać i zabiegać. Będzie mu się chciała podobać, będzie potrzebowała pięknych sukien dużo, dużo. Klejnotów ma dość, stare pamiątki rodzinne, a potem ten skarb etruski. . To ślubne jej klejnoty! Jakże będą olśniewały, jak białość sukni ślubnej jeszcze ich blask podniesie! Kaszmir będzie lepszy niż jedwab, bardziej w zgodzie z tym starodawnym wieńcem dyademem. Po ślubie pojadą razem do Czech. Albo może do jednej z tych kolonij podkaukazkich, z tym idealnym klimatem, o których opowiadał jej kiedyś z takim zapałem. San Catalda i tak niepodobna dłużej trzymać. Ale czyż im na tem co zależy? Donna Paolina jest w tak blizkiej przyjaźni z Aldobrandinimi, którzy mają w sąsiedztwie wielkie majętności i potrzebują San Catalda dla zaokrąglenia swych ziem. Donna Paolina postara się, aby zyskownie sprzedać im ten skromny folwarczek. No, i w ten sposób będą prawie bogaci, ona, Caterina, i jej mąż. A Jan Marya zabiegłością swoją podwoi wkrótce ten mały kapitalik. Róży Maryi nie zostawią w owym zakładzie. Będzie mieszkała u nich. Ta wielka, piękna przyroda kaukazka, oraz ich miłość i piecza nie mogą nie wpłynąć dobroczynnie na jej w gorączkowych wizyach błąkającego się ducha. Ach, medycyna powątpiewa o jej uzdrowieniu? Dobrze, ale Bóg robi jeszcze cuda, przed którymi potem ta wiedza zawstydzona stoi! I jak często! Prawie codzień...

Tak mówiła i, mówiąc tak, wierzyła w to wszystko, we wszystko, we wszystko, chwytała się słów własnych jak tonący brzegu; a na dworze wyrzekał monotonnie wiatr, deszcz szumiał posępnie, zmrok głęboki opadał na śmiertelnie smutną Kampanię, na ów gród wielki, i ukołysany tym zmrokiem, tym jednostajnym szelestem wiatru i deszczu, tymi słodkimi, cichymi dźwiękami głosu Cateriny, tym balsamem jej pociech, jął usypiać zmęczony Jan Marya powoli... Spostrzegłszy, że usnął, umilkła, puściła łagodnie jego rękę i wstała. Uczuła teraz dopiero, w tej głuchej ciszy, gdy własne słowa już jej nie łudziły, że w istocie niczemu nie wierzyła z tego, co rzekła; uklękła cicho na kobiercu i usta jej szeptały: „Boże mój, złagódź tę boleść, abym pod nią nie upadła! Jeśli nie jest wolą twą, abym była szczęśliwa, daj mi przynajmniej siłę, abym się temu wyrokowi poddać mogła i znosić bez szemrania brzemię, które na mnie włożysz.

Głowa powoli opadła jej na piersi. Została tak przez chwilę, potem powstała, jakby opamiętawszy się. Wyszła cicho z pokoju i dała rozkaz, aby nikt tam nie wchodził i snu mu nie przerywał. Za radą Suntarelli zjadła nawet cośkolwiek i wypiła szklaneczkę wina. Miała świadomość, że siły cielesne nieodzownie jej są potrzebne, jeżeli pod krzyżem swoim upaść nie chce. Chodziła potem długo po pokoju i nareszcie wróciła do niego. Spał dotąd. Zapaliła świecę i postawiła ją tak, aby głowa jego w cieniu została. Dołożyła potem do ognia i siadła w fotelu niedaleko okna.

Deszcz padał ciągle, a wiatr wiał niekiedy tak dziko, że ogień na kominie buchał spłoszony i czerwieńsze w mrok pokoju miotał połyski. Jana Maryi to nie budziło, leżał bez ruchu, a oddech jego nie był ciężki.

Caterinę uspakajało, że się wydawał tak spokojnym. Sama zmęczona, wsparła głowę o wysoki tył fotelu i duch jej błądzić ją w nieokreśloności, jak wzrok po ciemnym szumiącym za oknem ogrodzie.

— Nacziketas!—przyszło jej nagle na myśl, i widziała w półśnie, który ogarniać ją zaczął, ową postać z poematu indyjskiego... — Szedł smukły, silny, jak dąb młody w lesie — młodość mu z twarzy świeciła weselnie —jak nieśmiertelna, złota wiosny światłość — lecz razem smutek jako cień posępny...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TANIE FIRANKI *J. LAURYSIEWICZ,* 542-25-25 Marszałkowska 148, I-e piętro, miesz. 4 **KORONKI, WOALKI**

Nagrodzone na Wystawie Hygenicznej w Warszawie Dyplomem honorowym.

do nabycia wszędzie — Najlepsza Marka krajowa. — **KAKAO** funt k. 90 i Rs. 1. — **KAKAO** na sposób Holenderski — **EXELSIOR** funt Rs. 1.20 i Rs. 1.90. — Najlepsza Marka krajowa. — do nabycia wszędzie

poleca Parowa Fabryka Czekolady i Cukrów **E. WEDEL**
Filia w Warszawie i w Łodzi. 792-12-2.

WYDAWNICTWA 800-3-1

Gebethnera i Wolffa

w Warszawie.

ALBUM SIENKIEWICZA.

Wydawnictwo jubileuszowe. Główniejsze sceny i postacie z powieści i nowel Henr. Sienkiewicza **w 20 illustracyach,** wykonanych w heliograwiurach, według rysunków: **Brandta, Chełmońskiego, Kamieńskiego, Kotarbińskiego, Pochwalskiego, Rosena, Siemiradzkiego, Stachiewicza i Wodzinowskiego,** z wstępem krytycznym **Stanisława hr. Tarnowskiego,** oraz wyjątkami z dzieł Henryka Sienkiewicza. **Wydanie wytworne** na pięknym welinie in 4-o, w ozdobnej oprawie rs. 8, bez oprawy 6.—

☞ **Pamiątkowego tego dzieła wyszło w małej liczbie egzemplarzy wydanie zbytkowne** (édition de luxe), w wielkim formacie in folio, z heliograwiurami na chińskim papierze, w ozdobnej opr. z portret. Henryka Sienkiewicza 15.—

Mickiewicz. DZIADY.

Część I, II i IV. Wydanie ozdobne w dużym formacie in folio, na pięknym papierze, **z licznemi illustracyami podług kartonów CZESŁAWA JANKOWSKIEGO,** w ozdobnej opr. rs. 12, bez opr. rs. 8. Wydanie na papierze chińskim w ozd. opr. rs. 14, bez opr. rs. 10. Wydanie zbytkowne (kilkadziesiąt egzempl.) 25.—

Potocki hr. Józef. Notatki myśliwskie z Afryki.

Somali. **Ilustrował P. Stachiewicz.** Wspaniałe wydanie na kredowanym papierze, w ozdob. opr. rs. 15. Wydanie zbytkowne w bardzo małej liczbie egzemplarzy. 40.—

Młoda Polska w pieśni.

Wybór poezyi z ostatniej doby, ułożył Czesław Jankowski w ozd. opr., brzegi marmur. rs. 2. brzegi złoc. rs. 2.40, bez oprawy 1.50

NOWE LATKO.

Poezye **Maryi Konopnickiej,** z illustracyami kolor. **Piotra Stachiewicza.** Wydanie bardzo ozdobne, na pięknym papierze w dużym formacie, w ozdobnej okładce karton. 2,—

Nowo-otworzony Magazyn Mód

L. ZIELINSKA

ul. NIECAŁA 11, I piętro. 692-40-22

!!!WAŻNE DLA DAM!!!

Nowo-otworzony Magazyn

Okryć Damskich

S. LEWI,

Niecała 12, I-e piętro.

Roboty wykonywają się przez krawców męzkich, podług ostatnich żurnali w najkrótszym terminie.

CENY NAJPRZYSTĘPNIEJSZE. 686-25-12

BIURO

Zofii Masłowskiej

Włodzimierska № 9

poleca: Nauczycieli, Nauczycielki i Bony różnej narodowości. 581—25-23

SAINT-LÉHON

Wino toniczne, odżywcze i wzmacniające, prawdziwe i jedyne wino dla rekonwalescentów. Do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych. 729-25-15

Najnowsze wydawnictwa

KSIĘGARNI 801—3—1

Gebethnera i Wolffa

w Warszawie.

ARWOR **Na giełdzie cnoty.** (Rysunek z pamięci). Powieść 1.—
ASKENAZY SZYMON. **Studya historyczno-krytyczne.** Wydanie 2-e 2.40
GAWALEWICZ MARYAN. **Motyl.** Philemon i Baucis.—Ostatnia schadzka.—Filiżanka.—Prolog. Z illustracyami Piotra Stachiewicza (Bibl. illustr.) —.80
w ozdobnej oprawie 1.20
GRUSZECKI ARTUR. **Krety.** Powieść współczesna 1.50
— **Hutnik.** Powieść współczesna —.80
HÖSICK FERDYNAND. **Juliusz Słowacki** (1809—1849), biografia psychologiczna. 3 duże tomy 6.—
JESKE-CHOIŃSKI T. **Ostatni Rzymianie.** Powieść z czasów Teodozyusza Wielkiego. 2 tomy 2.40
JUNOSZA KLEMENS. **Zagrzebani.** Powieść 1.20
KONOPNICKA MARYA. **Dym.** Nasza szkapa.—Głupi Franek. Z illustracyami S. Sawiczewskiego. (Bibl. illustr.) 1.—
w ozdobnej oprawie 1.40
— **Ludzie i rzeczy.** Szkice i obrazki 2.—
— **Nowele.** (Panna Florentyna i in.) 1.50
KOTARBIŃSKI JÓZEF. **Niezdrowa miłość.** Szkice obyczaj-psycholog. 1.50
KRASIŃSKI Z. **Wybór pism.** Wydanie miniaturowe na pięknym papierze, z portretem autora 1.—
w ozdobnej francuskiej opr. 1.80
MATUSZEWSKI IGNACY. **Swoi i obcy.** (Pokrewieństwa i różnice). Zarysy literacko-estetyczne 2.—
NIEMCEWICZ J. U. **Śpiewy historyczne.** Wydanie miniaturowe, na pięknym papierze k. 80. W ozdobnej francuskiej oprawie 1.50
PRUS BOLESŁAW. **Faraon.** Powieść, 3 tomy 3.—
REYMONT W. **Fermenty.** Powieść, 2 t. 2—
— **Komedyantka.** Powieść 1.50
— **Spotkanie.** Szkice i obrazki 1.50
SIENKIEWICZ H. **Na jasnym brzegu.** rs. 1, w ozdobnej oprawie 1.40
— **Pisma** tom XXX-ty **Listy z Afryki,** wydanie drugie 1.—
SŁOWACKI J. **Wybór pism.** Wydanie miniaturowe, na pięknym papierze, z portretem autora 1.—
w ozdobnej francuskiej oprawie 1.80
STUDNICKI W. **Współczesna Syberya.** Z mapą Syberyi i kolei syber. 1.20
ŚWIĘCZYC-WILAND WŁAD. **Czarny porucznik.** Powieść 1.50
TURKUŁŁ JAN. **Gawędy familijne.** Pamiętnik z XIX wieku —.50

SPECYALNY ZAKŁAD

Reparacyi maszyn do szycia

W. KALINOWSKI

Wspólna Nr. 15 785-50-5

Przedpłata zniżona od Now. Roku.

na miesięcznik

„PSZCZELARZ I OGRODNIK"

w Warszawie i z przesyłką pocztową **rs. 3 rocznie; dla wszystkich członków** Tow. Pszczel.-Ogrodniczego **rs. 2** rocznie. Kancelarya Tow. Pszcz.-Ogr. (Wiejska 12) na żądanie wysyła bezpłatnie numera okazowe.

MAGAZYN OBUWIA

TEODORA CENTNERSZWERA

Graniczna 8. 522—26-26

Poleca wielki wybór obuwia. Ceny niskie.

Egzystująca od roku 1824

FABRYKA WYROBÓW PLATEROWANYCH

i Srebrnych 84 próby

Józefa Fraget,

w Warszawie, ulica Elektoralna Nr. 16.

WŁASNE MAGAZYNY ZNAJDUJĄ SIĘ:

W WARSZAWIE: Senatorska 17, Krakowskie-Przedmieście, Nalewki 16. ŁÓDŹ: Piotrkowska 16.

738-26-9

ZAKŁAD GALWANICZNY L. Kardaszyńskiego

ulica Czysta Nr. 8 w Warszawie.

Przyjmuje do reperacyi i odnawiania wszelkie wyroby **z różnych metali** po możliwie **nizkich cenach.** Stołowa robota z 2-letnią piśmienną gwarancyą. 760—25—5

Najlepsze i najtańsze kajety, tornistry, wszelkie przybory szkolne, oraz papier do owijania śniadań szkolnych, poleca SKŁAD PAPIERU
612—50—41

L. Poradzewskiego, Niecała 8.

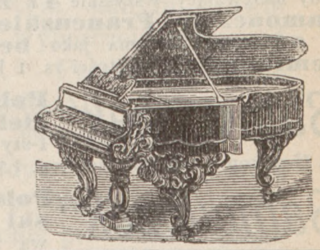
765—13—8 **DOSTAWCA DWORU JEGO CESARSKIEJ MOŚCI**

24 Nowy-Świat 24

K. M. Schröder

POLECA:

FORTEPIANY i PIANINA



w wielkim wyborze i po cenach przystępnych

w Składzie fabrycznym

w Warszawie.

ILLUSTROWANE CENNIKI na żądanie gratis i franko.

24. NOWY-SWIAT 24

Szkoła rękodzielnicza dla kobiet

K. Mączyńskiej,

747-6-5 Mazowiecka № 11, m. 8, w Warszawie,

przyjmuje uczennice przychodnie i pensyonarki: na **szycie krawieczyzny i bielizny. krój, system francuski. Haft biały i kolorowy,** złotem i srebrem. **Malowanie i wypalanie** na drzewie, rysunki, introligatorstwo galanteryjne, gipiurę, włóczkowe roboty, pończosznictwo, trykotaże, wyroby ze skóry i krawaciarstwo. Pensyonarki mogą korzystać z fortepianu. Na żądanie wysyła się program.

Składy Nici, Galanteryi i towarów Norymbergskich

ALOIZY LUDWIG

W WARSZAWIE. 790-12-2

Skład Główny ulica Senatorska Nr. 6. Filia Marszałkowska Nr. 119.

Zakład naukowy Żeński 6-cio klasowy z oddziałem przygotowawczym

STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście № 2

(wprost Kopernika),

przyjmuje uczennice na przychodnie, półpensyonarki i pensyonarki stałe. Wymagania hygieny i pedagogiki ściśle przestrzegane, mieszkanie 8 łokci wysokie na I-em piętrze, system klas korytarzowy. Tablice graficzne, przedstawiające fizyczny rozwój dzieci w Zakładzie będących, odznaczone zostały pochwałą, a prace uczennic, oraz pomoce naukowe Zakładu, nagrodzone **medalem** przez Komitet zeszłorocznej Wystawy hygienicznej w Warszawie.—Po za obowiązującym programem nauk szkolnych, kładzie się nacisk na krój, roboty ręczne, konwersacyę w obcych językach, oraz dobre wychowanie w najwyższem znaczeniu tego słowa.—Warunki przystępne. Gimnastyka, śpiew, tańce bez oddzielnej opłaty od pensyonarek.—Zapis i egzamin nowo-wstępujących uczennic odbywa się codziennie.

Przedmioty Gospodarstwa Domowego
Jerozolimska 72

MAGAZYN „METROPOL"

Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo
Jerozolimska 72 766—[illegible]0-7

Warszawski Zakład Ginekologiczny

Marszałkowska 45,

D-rów Borysowicza, Brühla, Gromadzkiego, Kuniewicza, Natansona, Thiemego, Tyrchowskiego i Winawera

przyjmuje osoby dotknięte chorobami kobiecemi, jako też spodziewające się słabości, za opłatą od 1 do 5 rs. dziennie za całkowite utrzymanie, leczenie, lekarstwa i t. p.

Ambulatoryum dla niezamożnych chorych codziennie od 1—3. Cena **30 kop.** Biedni bezpłatnie. 524—50—49

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS
jedynie nieszkodliwy,
dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.** Pudełko kop. 15, 30 i 50.

768—20-7

Są do nabycia w księgarniach podręczniki naukowe pedagoga **Reussnera** p. t.

Najlepsza Metoda

najłatwiejsza do **bardzo prędkiego** a **gruntownego** nauczenia się **Języków Obcych bez nauczyciela,** z objaśnieniem **wymowy** i z **Kluczem** na końcu każdego dzieła:

„Samouczek" Polsko-Niemiecki, kurs wstępny **(Elementarz)** po kop. 10, 20, 35; — kurs I-szy kop. 60,—kurs II-gi kop. 1.60, — komplet (oba kursy) kop. 2.00; **Rusko-Niemiecki Samouczek** po kop. 10, 20, 35 i 2.70.

„Samouczek" Polsko-Francuski, kurs I-y 13 zeszytów, kurs II-gi 24 zesz. Gramatyka Polsko-Francuska 10 zesz. po 15 kop. (pocztą 18 k.); na zaliczkę wysyła się tylko **20, 10** lub przynajmniej **6** zeszytów.

Kurs I-y z drugiej edycyi w całym tomie kosztuje rs. 1 k. 20 (pocztą rs. 1 k. 35). Każdy nabywający wszystkie **47 zeszytów „Samouczka" Francuskiego** wprost **od autora,** otrzyma jako **bezpłatne premium** dzieło wartości rs. 1 k. 20.

„Samouczek" Polsko-Angielski kurs I-szy kop. 75,— kurs II-gi kop. 1.20, komplet kop. 1.70.

„Samouczek" Polsko-Ruski z wymową i akcentowaniem wychodzi zeszytami po 10 kop. (pocztą 13 kop.).

„Samouczek" Francuski i Ruski został opracowany i wydany tylko wskutek usilnego domagania się Szan. Publiczności i pp. Pedagogów.

Amerykański Przewodnik z rozmówkami angielskiemi, wydanie II-ie znacznie powiększone, 50 kop.

„Samouki *Wielcy ludzie*", t. j. 33 życiorysy najsławniejszych ludzi z 16 rycinami, 80 kop., w oprawie rs. 1 k. 50.

Petöfi Aleksander, król poetów węgierskich, wieszcz nieśmiertelny, bożyszcze narodu madziarskiego, poeta nad poetami. Kop. 70, opr. rs. 1 k. 20.

Elementarz Polski z wzorkami pisma i rysunków i z obrazkami **(741 figur)** po 4, 15, i 25 kop.

Na przesyłkę pocztową dolicza się 20 kop. do każdego rubla. — Skład u autora **(Reussnera),** Złota 6, Warszawa. 706—11-1

WYPOŻYCZALNIA (CZYTELNIA) KSIĄŻEK
polskich i francuskich

przy Księgarni Sortymentowej i Składzie Nut **MAURYCEGO ORGELBRANDA, M. Machwitz** w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika.
Wysyła się i na prowincyę. 748—25-10

MAGAZYN MÓD
i Pracownia Sukien

J. Królikowskiej

Niecała № 7, Marszałkowska № 114.

Polecają najnowsze fasony na każdy sezon po cenach umiarkowanych. 726—25-8

Do handlu Delikatesów

nadszedł transport

Kolmarów
Pasztetów Strasburgskich
oraz
Homary,
Soles,
Turbot.

W. Rogulin i P. Kuryluk w Warszawie,
w Gościnnym Dworze. — Telefon Nr. 729.

OSTRYGI,
Ananasy,
KAWIOR
Astrachański,
RYBY
świeże i wędzone
po cenach umiarkowanych.

799—1—1

Po dziesięcioletniej praktyce w pierwszej haftarni Panny Bobrowskiej, otworzyłam pracownię haftów i przyjmuję roboty maszynowe i ręczne. 759-24-5

Miodowa Nr. 1.
miesz. 17, 2 brama 1 piętro

PRACOWNIA

Konfekcyj Damskich

Złota 25, mieszkania 6 (front).

Przyjmuje obstalunki oraz wykonywa gotowe fasony z własnych materyałów od 18 do 25 rs. 745-12-6

Wielki medal srebrny

FARBY LAKIERY POKOSTY

polecają Zakł. przemysł. chemicz.
W. KARPIŃSKI & W. LEPPERT
w Warszawie Plac Bankowy.
Cenniki franco i gratis.

673—20—20

NOWOŚĆ!

Hurtowa i detaliczna sprzedaż ulepszonej nafty z dostawą do domu. **Garniec 32 kop.**

„NAFTOL"

Królewska 16. 756-12-8

Ważne dla pp. Krawcowych!

Kroazy we wszystkich kolorach, **Nicianki, Towary Norymberskie** i wszelkie dodatki do sukien po cenach najniższych 758-25-5
poleca Magazyn

M. SADOWSKIEGO
7. PODWALE 7.

FABRYKA SZCZOTEK i PĘDZLI

M. TENCERA

WARSZAWA, Krakowskie-Przedmieście Nr. 39 (obok hotelu Saskiego).
Sprzedaż hurtowa i detaliczna po cenach umiarkowanych. 671—50-28

Fabryka Pończoch i Trykotaży

Z. MENTZEL

9. Ś-to Krzyzka 9.

Poleca własne wyroby w najlepszych gatunkach na sezon obecny.
Wybór wielki. — Ceny bardzo nizkie. 588—20—15

PIERWSZA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

M-me MERCÈRE

Nowy-Świat № 20.

Kursa wyższe i niższe, teorytyczne i praktyczne, system oryg. **Paryski,** zdejmowanie fasonów bez rysowania form, warunki b. przystępne, wykład w 4-ch językach, uczennice otrzymuj **patenta z Cechu.** Pensyonarki korzystać mogą z fortepianu, konserwacyi francuskiej i niemieckieą 78[illegible]-6-j

---

Szkoła Rzemiosł żeńska

KORYCIŃSKIEJ

Krakowskie-Przedmieście 17,

Nagrodzona na wystawach w Warszawie medalami bronzowymi i złotym, w Petersburgu najwyższą nagrodą, w Czykago medalem i dyplomem.

Zapisy przyjmuję na krój sukien, bielizny, szycie, haft, modniarstwo, krawaty, roboty włóczkowe litografia, rysunki, malarstwo zastosowane do przemysłu, wypalanie, koszykarstwo, introligatorstwo, mozajka drzewna.

Pensyonarki przyjmuję. 791—3—2



W.W. Paniom poleca się
nagrodzony na wystawie pracy kobiet
PATENTOWANY SZYNDLERA

BIUSTHALTER



Senatorska N. 26. 776B—12 3

---

17. Krakowskie Przedmieście 17.

GEBETHNER i WOLFF

NAJWIĘKSZY W KRAJU



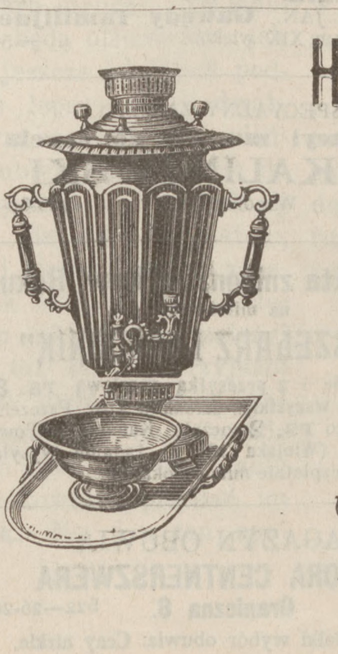
SKŁAD FORTEPIANÓW

501—52-52

Pianin i Organów.

749—12-10

KEFIR K. ŻYCKIEGO, APTEKARZA, Chmielna 23.



HERBATĘ i SAMOWARY

jak również

TACE, NOŻE STOŁOWE,

MASZYNKI do KAWY, SZCZOTY i t. p.

poleca

D. SZUMILIN

ulica Miodowa N-r 24, róg Długiej,
W WARSZAWIE. 716—3-2